PISMA J. I. KRASZEWSKIEGO

Z RYCINAMI HENRYKA PILLATEGO.

OSTROŻNIE Z OGNIEM.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WARSZAWA.
NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA.
1857.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

W Warszawie, dnia 24 *Marca* (5 *Kwietnia*) 1856 *roku.*

Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański**.

W Drukarni Braci Hindemith przy ulicy Danilowiczowskiéj Nr. 495 *lit A.*



OSTROŻNIE Z OGNIEM.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

I.

— A ja, zawołała blondynka, żywo podnosząc głowę i wyciągając rękę jakby wskazywała miejsce, w którém przed nią ktoś miał uklęknąć — ja, żebym kochała, żebym najmniejszą oznaką wzajemności opłaciła miłość, żądam po moim przyszłym kochanku, jak starożytna heroina, jak księżniczka w bajce, tysiąca, tak, tysiąca dowodów przywiązania. Dwóm, trzem, niewierzę. Ci panowie mają nas za słabe i łatwowierne istoty; myślą sobie—o! bylebym się uśmiechnął do niéj, bylebym tylko chciał. O! nie! nie! ze mną to nie będzie tak łatwo.— Nim uwierzę, nim się poddam, musi mi mój kochanek wycierpieć męki czyscowe; będę go dręczyć, będę go drażnić, będę go ujeżdżać.

— Aż miłość w nim zabijesz, odparła czarnooka.

— Ja bo takiéj miłości, którą zabić łatwo, jakiegoś tam robaczka, co to mu lada chłodek szkodzi, lada ciepło go o mdłości przyprawia — nie chcę, nie chcę. Wszystko, albo nic. Chcę kochać, ale kochać raz na zawsze, całą duszą, całém sercem, życiem całém. A wzajemnie chcę duszy, serca i życia— chcę poświęcenia bez granic.

— Duszko chcesz wiele, chcesz za wiele!

— A nie — to nie będę kochać wcale, zawołała żywo blondynka. Co mi tam! te wasze bladoróżowe miłostki wykwitające z każdą wiosną, opadające za każdą zimą, to funta kłaków nie warte.

— Kochanie! spytam cię przedrzeźniając francuzkie przysłowie — na jaką to książkę stąpiłaś dzisiaj?

— Książkę?? Jak gdyby to książki taki na mnie wpływ miały?— Jeśli koniecznie chcesz spowiedzi, powiem ci szczerze, najszczerzéj, cóżem ja temu winna, że mnie taką Pan Bóg stworzył? U mnie tak zawsze i we wszystkiém.— Wszystko, lub nic. Pytam się ciebie, lepiéjże swoje serce, przywiązanie, siłę tę, którą Bóg w nas wlał dla szczęścia ludzi.....

— Duszko moja! przerwała śmiejąc się czarnooka.

— Nie przerywaj. — Lepiéjże tę siłę zmarnować, kupując za nią obwarzanki po trzy grosze, które ni smakują, ni karmią; czy za całe złoto jéj dostać jedno rajskie jabłko?

— A! dobrze powiedziałaś mimo woli.—Rajskie jabłko; i jak po niém: wygnanie z raju, płacz i śmierć.

— Mój raj w sercu mojém, a gdy w niém tylko miłość przechowam i uniosę, któż mnie z niego wygna?

— Zapominasz w zapale, jak kruche szczęście ludzkie.

— Tak! ale i życie kruche — to pociesza.

— Droga, unosisz się za daleko.—Śmiałabyś—

— Wszystkobym śmiała, kochając — kochana.

— Wielkie szczęście, że nikt nas nie słyszy.

— O! jestem pewna, że choć tego nie mówię, wszyscy mi to z oczów czytają.

— Nie daj Boże!

— Jak to? czyste mam myśli!

— Ale szalone i nie jeden zapragnąłby z nich korzystać— oni tak dobrze grają jaką chcą rolę.

— Nie zemną! Niechże wprzódy przebędzie próby i złoży dowody. — A! naówczas, gdy pokocham, gdy będę pewną, że mnie kocha — jego jestem cała, na wieki. Nie kochając i głowy nawet nie odwrócę i probować nie będę.—Na co?

— A nuż pójdziesz za mąż bez miłości?

— Ja? ja? To mówiąc rozśmiała się na całe gardło i pokazała białe jak śnieg ząbki drobniuchne, ostre, gęsto w ustach zasiane. Ja? pójść za mąż tak sobie, jak to wy wszystkie idziecie?— Prawdziwie, gdyby to kto inny mówił? ale ty moja droga, co mnie znasz.

— A! wszystko się trafia na świecie!

— Nie! nie! nie! — I wziąwszy się oburącz za głowę, blondynka zakręciła się w kółko, potrzęsła nią i ruszając ramiony, usiadła znowu na zielonéj murawie pod dębami.

— A gdyby?

— Gdyby, mówisz? Niechże mój przyszły małżonek wcześnie sobie stryczek nagotuje, bo pewnie do pół roku powiesić się będzie musiał, rozumie się, jeśli sobie w łeb nie strzeli, czego mu nie bronię. — Takiéj żony świat nie widział, jakąbym ja była.

— Z twojém anielskiém sercem—

— Tak, z mojém! Mam serce, mam; ale téż kiedy to serce zabiję nienawiścią, gniewem, wstrętem: z drogi panowie! z drogi!!

— A! jakżeś ty zabawna! smutnie odpowiedziała po chwilce namysłu wewnętrznego czarnooka.

— Zabawna! słyszysz ją? Ty mi nie wierzysz?

— Wierzę, że dzisiaj tak myślisz! ale jutro — jutro tak odmienia!

— U mnie wczoraj, dziś, jutro—jedno!

— Droga moja, tak się zapalasz, że sama nie wiesz co mówisz, aż mi żal ciebie; mówi się często bez myśli, a słowo jest proroctwem losu......

— Całe życie taką byłam, zapalczywą, pozwól mi zostać jaką mnie Bóg stworzył.

— Słuchaj! a gdybyś kochała nie kochaną?

Blondynka zastanowiła się, otwarła oczy wielkie. —No, to cóż? będę się starać o *jego* miłość z *umiarkowaniem;* a jeśli mnie nie pokocha—no—to—to.

— Sprzeczasz się sama z sobą.— Z *umiarkowaniem*? gdzież twoje umiarkowanie, którego się wyparłaś przed chwilą? Dokończ więc, cóż będzie jeśli nie pokocha?

— To potrzebuję namysłu! Czyż wiem coby natenczas zemną było. Umarłabym—albo, albo— O! nie wiem—kto to takie robi przypuszczenia dla mnie, co jestem nie pochlebiając sobie — wszyscy mi to mówicie — ładna jak aniołek, zła jak szatanek, i doprawdy, sama przyznaj — że wcale nie głupia.

— Chodź dziecko! niech cię uściskam! I dwoje dziewcząt rzuciły się, śmiejąc ku sobie, objęły się rękoma, a w pocałunku długim, serdecznym, urwała się rozmowa......

Był to prześliczny wieczór letni, a dzień pogodny — słońce za drzewami złociło zachód jaskrawo; reszta niebios od światła żółtego, od czerwonych blasków, przez liliowe półcienie zlewała się z czystym błękitem, na którego tle jednostajném płynęły powolnie chmurki z jednéj strony płomienne, z drugiéj przyćmione. Czerwony księżyc podnosił się na przeciwnéj stronie, przekreślony wpół pasem niedojrzanéj chmurki, która go rozcinała na dwoje.

Nad drogą szeroką, wiodącą do widnego w oddaleniu dworu na wzgórku stojącego, na łące zielonéj pod rozłożystemi dębami malowniczo rozrzuconemi, siedziały nasze dziewczęta jeszcze uściskiem milczącym spojone. Blondynka położyła główkę cudnéj piękności na ramieniu swéj towarzyszki, która oczy wlepiła w ziemię i smutnie się zadumała.

Śliczny to był obrazek! Promienie słoneczne padając przez drzew gałęzie, dziwacznie gdzie niegdzie oświecały i piękne ich twarzyczki i zieloną murawę, na któréj siedziały. Skromnie i po wiejsku ubrane, pozrzucawszy kapelusze słomkowe, u nóg ich leżące, z rozpuszczonemi biegiem i swawolą włosami, dwie dziewczęta spoczywały teraz po przechadzce i żywéj rozmowie. Młodsza, blondynka, aniołek piękności, z głębokiém ognistém spojrzeniem szafirowych oczów, średniego wzrostu, nieporównanéj kibici, miała w sobie coś tak uroczego, że niepodobna było spojrzéć na nią i nie zadrżeć. Jéj wzrok mówił tak wiele, tak dziwnych rzeczy, że nad nim, jak nad niezgłębioną przepaścią, stawał osłupiały człowiek. Śpiące myśli rozbudzały się nim w duszy, falami biły o serce i rzucały w niepewność, zadumę, tęsknotę i rozpacz.

Wzrok téj kobiéty był najsilniejszym dowodem nieśmiertelności duszy ludzkiéj. Jego życie było tak silne, tak wielkie, że się tym światem i żywotem skończyć nie mogło. Lecz o dziwna sprzeczności!— usta téj saméj kobiety, maleńkie, różowe, świéże jak rozkwitła róża, śmiały się szydersko z własnych oczów. Oczy miała niebieskie—usta ziemskie. I kto się upił jéj oczyma, otrzeźwił ustami. Patrząc w jéj źrenice, można było wieczność przedumać i wieki prześnić w zachwycie; — usta w jednym pocałunku oddawały całe skarby swoje.

A jak była piękna! jak piękna, gdy czasem te usta różowe smutnie się do wyrazu jéj oczów nastroiły: naówczas świat cały u nóg jéj mógł leżéć i wstaćby mu się nie chciało, i nie pomyślałby wstawać.

Czoło blondynki godne było jéj oczu; a włos jasny opromieniał je, jak aniołów skronie rozjaśnia nimbus złocisty. Było to białe pole, po którém płynące zdawało ci się widzieć myśli jasne, myśli szare, złociste, skrzydlate;—każda z nich przesuwała się po niém wyraźnie, przepływała przez oczy czarodziejskie i—nikła. — Któż wie gdzie nikną myśli, dokąd idą?— Towarzyszka pięknéj Julii niemniéj zastanawiała wdziękiem smutniejszym daleko, na którym piętno wyraźne złożyło uczucie,

nie mające w języku naszym nazwania, bośmy go w sercach nie mieli, nie mamy—*rezygnacya*.—Czarne oczy długą rzęsą przyćmione, w łzie niewysychającéj pływające, lśniły się cichym tłumionym smutkiem, którego peryod gorączkowy, chwila gwałtowna już przeszła. Pozostała — rezygnacya w cierpieniu. — Usta czarnnookiéj śmiały się, ale smutnym, zawodu i boleści chrześciańskiéj uśmiechem, cała twarz mówiła o tajemniczéj przeszłości jakiéjś bohatersko przeniesionéj, która jak widmo już tylko przesuwała się przed jéj oczyma.

A jednak mimo surowego wyrazu twarzy, czarnooka mało co była starsza od towarzyszki; — widocznie cierpienie jéj dojrzałość przyspieszyło, i każdy rok dwa lata zapisał na chmurném jéj czole.

Czarnooka nie miała téj świeżości wiosennéj, téj białości idealnéj, która tak zdobiła blondynkę; blada, ciemnéj płci, pomimo piękności rysów potrzebowała być bliżéj poznaną, żeby się podobała, żeby pociągnęła. Nie jednemu zdała się nawet brzydką. Wzrok jéj nigdy się nie podnosił śmiało, po młodemu, z zapytaniem, z wyzwaniem, z ciekawością; jakby nie chciała w świat patrzéć, lub nie była go ciekawa, spuszczała oczy, przelotnie rzucała powłóczystym wzrokiem, gdy na nią nikt nie patrzał. W uścisku serdecznym, długim, nie wiem co myślały obie—może o innym pocałunku! o przyszłości, o sobie — może? któż wie co myślą dziewczęta, gdy się całują, kto wié czy myślą nawet? Spuściły głowy, oparły je i oplotłszy się rękami dumały. Marya czarnooka patrzała na ziemię. Julia blondynka puściła wzrok po za drzewa w jasne promienie słoneczne, od których nie zmrużyła powiek. — I chwila dość długa upłynęła tak niepostrzeżona, nieuczuta, zdało się im, że mgnieniem oka przeleciała.

W tém po za niemi tentent i szelest nagle dały się słyszeć, ziemia zadrżała, gałęzie chrzęstać poczęły, liście spadać strzęśnione; a dziewczęta przestraszone niewymownie, nie mając siły zerwać się na nogi przed grożącém jak im się zdawało niebezpieczeństwem, obróciły tylko główki w stronę zkąd je łoskot dochodził.

Z zielonéj Dąbrowy pędził jeździec na pięknym siwym koniu, ze strzelbą na plecach; walczył on z ognistym i prześlicznych kształtów wierzchowcem, który go prawie unosił.— Z rozdartém nozdrzem, z rozczochraną grzywą, podrzuconym ogonem, spotniały, z żyłami wzdętemi, które siecią dziwaczną na cienkiéj rysowały się skórze, siwek unosił a raczéj unieść chciał pana. Ale nie było to łatwo. Na grzbiecie jego, jak wrosły siedział młody, przystojny, barczysty i silny jak się zdawało, mężczyzna. Ubiór jego bardzo był prosty, bo składał się z sukmanki siwéj, zielono okładanéj, na któréj strzelba i róg myśliwski na zielonych krzyżowały się paskach. Na czole czapeczka lekka krojem pospolitym ledwie pokrywała część głowy, noszącéj wyraz męzki i szlachetny. Ciemne włosy krótko ucięte, ciemne oczy, nos orli z ruchawemi jak u szpaka nozdrzami, które w téj chwili walka rumieniła, usta rumiane i kształtne, składały całość więcéj charakterem niż rysami odznaczającą się. Spokojna odwaga, męztwo pewne siebie, a przytém łagodność towarzysząca zawsze prawdziwéj sile, odbijały się na pięknéj jego twarzy. Nie bił i nie znęcał się nad koniem jak innyby pewnie uczynił, przymuszony będąc do walki; pasowanie się nie wywołało w nim gniewu ale siłę, wstrzymywał konia, łagodził i pokonywał zręcznie.

Prawie najechawszy na siedzące dotąd pod dębami dziewczęta, gdy te krzyknęły z bojaźni, a koń nagle w bok się gwałtownie odsadził; myśliwiec potrafił utrzymać się na nim i korzystając ze znużenia jego, osadził prawie na miejscu.

Naówczas spojrzał dopiéro na dwie piękne nieznajome, i widać było jak się zdziwił, postrzegłszy je niespodzianie.

— Przepraszam!—zawołał zdejmując czapeczkę — przestraszyłem panie!

— O nie!—odpowiedziała Julia—to nie, ale pan się sam rozbić mogłeś, lecąc tak przez las.

Nieznajomy się uśmiechnął.

— Pozwoliłem, rzekł głaszcząc siwego, pozwoliłem memu koniowi myśleć, że mnie uniesie. Jeszcze raz darować mi proszę. To najgorzéj, żem się w cudzy las zapędził i muszę jak złodziéj uciekać.

To mówiąc skierował siwego ku drodze, skłonił się patrzącym nań dziewczętom, przesadził rów, i puściwszy koniowi cugle, jak strzała uniósł się w stronę przeciwną dworowi. A uciekając obejrzał się raz jeszcze.

Marya i Julia patrzały nań długo, długo; piérwsza dumała smutnie, druga marzyła coś z bijącém sercem.

— A! a! opowiem babuni gdy wrócimy, zawołała Julia z pośpiechem— miałyśmy przecie awanturę, coś nakształt piérwszego rozdziału starego, bardzo starego romansu. A wiész Maryniu, że mi się to bardzo podoba! Nagle z drzew wypada nieznajomy, na siwym koniu, piękny, młody, silny zjawia się, przemówił i znika. Nie wiemy kto jest, zkąd? prześlicznie! I jak w porę przybył; właśnie gdyśmy mówiły o miłości, o kochanku — nie jestże to oznajmienie? nie jestli to jakby coś przez los obrachowanego? Mówiąc to Julia się uśmiechała; ale łatwo poznać było, że choć żartem niby zwierzała się myśli, myśl ta już nad nią panowała, już objęła ją całą.

— Julciu droga, już ci się główka zapala!

— Gdzież tam! ale sama wyznaj! nie prześliczny ż to mojego romansu początek. Młodzieniec nawet bardzo się zbliża do mojego ideału, pełen wyrazu, siły, męztwa i szlachetności.

— Jużeś go tak dobrze oceniła?

— O! na to dosyć jednego wejrzenia.

— Czemuż ja widziałam w nim tylko zbłąkanego sąsiada, który trochę się chciał przed panienkami z Dąbrowy swoim koniem pochwalić!

— Niegodziwa jesteś! Naprzód koń go doprawdy unosił; powtóre, znamy wszystkich naszych sąsiadów.

— Więc to rycerz nieznajomy z nieba dla ciebie spadły?

— Już nic nie powiem! szydzisz ze mnie! Ale wyobrażam sobie podziwienie dobréj babuni, gdy jéj naszą awanturę opowiem.

— I jak nas tylko co nie roztratował.

— Koń był daleko.

— Dla czegożeś krzyknęła?

— Albożja wiem!

Tak rozmawiając, szły wysadzaną topolami drogą ku dworowi, który już bielał na wzgórzu, w kląbie zielonych olch i wysokich starych dębów.

Julia gwarzyła i szczebiotała wesoło. Marya milczała, uśmiechała się, lub odpowiadała jéj krótko. — A blondynce tak było pilno pochwalić się awanturą na przechadzce, że im bliżéj starego dworu, tém szybcéj spieszyła i biegiem już prawie wpadła na dziedziniec otaczający obszerny

dom cały zasadzony jaśminami, bzami, akacyą, cały jaśniejący kwiatami. Wszędzie ich było pełno: róże, malwy, floxy, gwoździki, lewkonie i tysiące innych, właśnie w całéj krasie, krajowych i oswojonych kwiatów, ściskały się pod płotami, obejmowały dom, zalegały środek dziedzińca. — Ganek dworu ubierała winna latorośl, powoje, róża wijąca i kaprifolium różowe i czerwone. Pod oknami rzędami stały wyniesione wazony ustawione w szeroką ulicę. Wszędzie pełno było uroczych barw i woni.—Dziedziniec łączył się z ogrodem, w którym także niezmierne bogactwo kwiatów rwało oczy. Na zielonéj murawie w białych koszach, wśród dębów rozłożystych, iskrzyły się najświetniejszemi barwami rzadkie i nie rzadkie, a piękne, tylko łąk i lasów całego świata mieszkanki. — Po za dębami widać było wodę, altanę z dębu i brzeziny, i zarośla bez końca, w kształtne powycinane klomby. W takim wieńcu zieloności i kwiecia stał dwór stary o wysokim dachu, o pierzastych kominach, na wysokiém wzniesiony podmurowaniu. Jak sarneczka wbiegła do sieni Julka z powolniejszą daleko Maryą.

— Chodź do babuni, chodź zawołała, powiemy jéj nasze spotkanie.—I pociągnęła towarzyszkę do salonu, który kilką drzwiami szklannemi wychodził na ogród. Ganek, drzewa i kwiaty, których i tu pod oknami pełno było, zaciemniały spokojny ten kątek — poważny i smutny jak przeszłość. Wśród wielu nowych dodanych świéżo błyskotek, odwieczne sprzęty innych czasów odbijały swym skromnym wdziękiem.—Znać nie odważono się ich wyrzucić, ale trzpiot wnuczka, nie mając wcale szacunku dla starych krzeseł, kanap i zwierciadeł w porcelanowych ramach, usiłowała je upokorzyć wprowadzając co tylko mogła nowego. Nie bardzo się jéj to przecie udawało: białe ze złotem meble, pokryte karmazynową trypą, która osłaniała także ściany, w misterne ramy złocone ujęta, wcale nie wstydziły się przy zielonym safianem wybitych fotelach z mahoni dość grubo i pospiesznie wyrabianych, a charakterem wcale od staruszków różnych, różnych jak wieki co je stworzyły.

Jedno wielkie zwierciadło w pięknych złoconych ramach, wydawało się jakimś dorobkowiczem niesmacznym przy lustrze w porcelanowych okładkach, które mu nie ustąpiło placu. Stare portrety familijne, angielski dywan na podłodze, trochę wytwornych nowych cacek i fortepiano palisandrowe, ubierały resztę salonu, po którym i przeszły i teraźniejszy widać było dostatek.

Z salonu weszły dziewczęta do drugiego pokoju, podobnie do piérwszego, ale skromniéj przybranego. Tu także były stare, i same tylko stare sprzęty. Na kominie zegar bronzowy z porcelanowemi ozdobami, wskazywał szóstą godzinę. Drzwi wpół otwarte wiodły do przyćmionego pokoju babki. Skromny był on i niewielki; jedno okno na ogród wychodzące światło mu dawało; pod oknem był stolik założony różnemi gracikami w porządku ustawionemi. Piękna szkatuła, mały podróżny zegarek leżący na czterech nogach bronzowych, kilka książek, krucyfiks hebanowy z figurą ze słoniowéj kości, trochę kluczów i papierów. Daléj stało łóżko pod adamaszkowym pawilonem, kanapka włosieniem skromnie wybita, z bronzowemi ćwiekami, kilka podobnych krzesełek z wyginanemi poręczami. Nad kominem portret mężczyzny w dawnym polskim stroju, z podgoloną czupryną i wesołą, poczciwą, spokojną twarzą, jakich już dziś niewidać.

Między stolikiem a łóżkiem, na wygodnym fotelu, ze stołeczkiem pod nogami siedziała staruszka, różaniec i książkę nabożną trzymając w rękach. Piękne były rysy jéj twarzy, a ze spokoju, który na nich panował, czytałeś przeszłość czystą i cnotliwą polskiéj matrony!

Prosta, niewiele umiejąca, ale pełna rozumu i serca Starościna, mogła być wzorem niewiasty naszéj przeszłych wieków, o któréj zapomniały dzieje, milczą księgi, lecz podanie włożyło na jéj skroń gwiaździstą i promienną koronę. Pobożność, męztwo, dobroć niewyczerpana, powaga cnoty, czystość dziecinna, oto co odznaczało niewiastę naszą do XVIII. wieku. Nikt o niéj po za domem nie wiedział; lecz wszyscy czcili i błogosławili, ktokolwiek zbliżył się do niéj. Nie była to zalotności pełna Francuzka, któréj życie trwało tyle co piękność; ani marząca Niemka, więcéj w dumaniach niż na ziemi zrosła; ani sztywna Angielka, dla któréj przyzwoitość droższą jest od saméj cnoty: żywa choć poważna, łagodna i surowa razem, wielka, bo zawsze pani siebie saméj; w sercu miała skarby poświęcenia i dobroci, choć usty była milcząca, choć skąpa na słowa. Życie jéj więcéj było czynem, niż słowem i myślą. Usta modliły się, ręce pracowały, serce kochało w Bogu i Boga. Nigdy myśl nawet nieczysta nie sprowadziła majestatycznéj matrony w kałuże ziemi; nic ją skalać, nic świętego jéj spokoju zachwiać nie potrafiło. Życie całe było dla niéj dobrowolném, miłém spełnieniem obowiązku, czystą ofiarą, nieustanném poświęceniem wśród zapału religijnego, który oświecał i ogrzewał na każdym kroku. Wiara zbroiła ją na wszystkie wypadki życia: w szczęściu dziękowała Bogu lękliwie, nie dowierzając pomyślności, bo była ziemską, a zatém znikomą; w przeciwności rosła, mężniała, olbrzymiała, nabierała sił niespodzianych, wznosiła się do heroizmu. Wówczas walka nie nużąc ją, zdawała podsycać w niéj życie. Swoich kochała bez granic i dla nich mogła grzeszyć zbytkiem przywiązania, które nie zawsze objawiało się dla ich przyszłości zbawienném; pobłażała im, pieściła, usiłując ozłocić ich życie, ubezpieczyć przyszłość; dla obcych, w których widziała posłańców Boga, dla obcych, nieszczęśliwych i ubogich, dobroczynną była nietylko datkiem, nietylko chlebem, ale współczuciem, duszą, braterską pieczą i litością serdeczną. To co my zowiemy światem, a co jest wrzawą i zgiełkiem potrzebnym dla tych, co spokój stracili lub cenić go nie umieją— nie uśmiéchało się jéj wcale, nie nęciło, straszyło raczéj dla siebie i drugich, niżeli pociągało. Przyjemności większéj sceny nie były jéj nieznane, ale nigdy serca nie chwyciły, tak jak sąd świata nigdy jéj z drogi nie sprowadził.

Dnie jéj spłynęły jednostajne, od kolebki do grobu nieznacznie wiodąc, bez wielkich wstrząśnień, bez zmian nagłych, wolnym i równym krokiem. Na téj skromnéj tkaninie przeszłości, błyszczały gdzie niegdzie złote nici i czarne pasma, jak granice, na których wstrzymało się życie weselem lub boleścią. Lecz po nich szły znowu szare jednostajne dnie spokojne, modlitwą i pracą barwione.

Taką była Starościna, babka Julii, którą widzimy siedzącą w krześle z książką i różańcem w ręku. Była—bo teraz wiek ją znacznie odmienił. Ze wszystkich cnót, niewyczerpana dobroć i łagodność, najsilniejsza w niéj zawsze, teraz wszystkie inne w sobie zamknęła. Męztwo i *rozum serca*, którym dawniéj widziała tak jasno wszystko, choć

przyczyny nie badała, choć z wiedzy nie zdawała sobie sprawy, zakrzepły w staruszce. Modlić się i kochać pozostało jéj tylko. Kochała téż wnuczkę z żywością, z namiętném prawie wylaniem się dla niéj, nią żyła, nią oddychała, drżała o nią i w modlitwie nieraz czuła się grzeszną przeciw Bogu; bo przywiązanie do wnuczki przechodziło granice, które w jéj przekonaniu wiara oznaczać była powinna stworzenie, dozwalając tylko kochać w Bogu. Żywo wbiegła Julka do pokoju staruszki i uklękła przy stołeczku całując jéj ręce.

— Otożeś się zlatała! — łagodnie głaszcząc ją po czole, odezwała się staruszka.

— A jakże lecieć nie miałam — odparła szybko Julka, kładąc głowę na kolanach starościny — kiedy wystaw sobie babuniu, mam ci opowiedzieć taką śliczną awanturę.

— Awanturę! Jezu Panie! cóż to?

— Słuchajno babciu i nie trwoż się, bo nie ma czém. Jak cię kocham, coś bardzo ciekawego i pięknego.

— No, to mówże mi prędzéj, przestraszyłaś mnie.

— Wystaw sobie droga babciu, poszłyśmy z Maryą w dąbrowę, tuż za topolową ulicą, i nabiegawszy się za kwiatkami, usiadłyśmy pod dębami spocząć. Gadamy, gadamy, o już tego ci nie powiem babuniu cośmy tam mówiły, bo byś mnie nie zrozumiała i nazwała byś dziecięciem, aż w tém hałas, szelest, tentent.

— Jezu! cóż to było!

— Śliczny młody chłopiec na pięknym siwym koniu, który o włos że nas obie nie stratował.

Staruszka zakryła sobie oczy.

— Ale posłuchaj babciu, konia wstrzymał, przeprosił nas, przemówił słów kilka i przesadziwszy przez rów na swoim siwym, zniknął nam z oczów.

— Któż toby mógł być?

— Właśnie najśliczniéj że nie wiemy kto, nieznajomy i dosyć! jak w romansie! zupełnie jak w starym romansie.

— Młody, stary?

— Ale naturalnie, że młody i piękny mężczyzna.

— A! ty trzpiocie najdroższy...

— Ażeby babcia wiedziała jaka męzka postawa, jak dokazywał na koniu, jak mu pięknie było choć w siwéj sukmance.

— Tyś się bardzo przelękła?

— Troszeczkę. Marya podobno więcéj odemnie.

— Ja!

— Ale nie zapiéraj się! Mnie to przynajmniéj zabawiło, rozweseliło zaraz, a ty dotąd tak jesteś chmurna.

— Kiedyż ty mnie widziałaś inną?—spytała po cichu towarzyszka.

— Teraz kochana babciu—paplała Julka całując ją w ręce — ten nieznajomy ze swoim koniem zajechał mi w głowę tak, że muszę się dowiedzieć kto on jest, co za jeden?

— Julko! co pleciesz!

— O! jak babunię kocham, że nie plotę, zaraz zrobię śledztwo, przegląd jak najściślejszy sąsiadów i muszę odkryć kto to taki. Mam do niego i trochę pretensyi.

— Za przestrach?

— Ale nie. Mógł przecież widząc dwie młode i ładne panienki, bo juściż obie w swoim rodzaju jesteśmy bardzo ładne, mógł zsiąść z konia, zarekomendować się i dłuższą poprowadzić rozmowę, nieprawdaż babuniu? nawet był powinien! koniecznie!

— Nie, moje dziecko. Właśnie najrozumniéj zrobił, i za to go bardzo szacuję, że pokłoniwszy się, jak należało, przeprosiwszy, pojechał sobie daléj. Dwoje młodych dziewcząt, trzpiotów, same jedne! nie godziło się wdawać w rozmowy!

— Ale to obraza mojego majestatu—przerwała wnuczka.—Jakże! podobno się nawet nie obejrzał.

— O! już szukasz nadaremnéj przyczepki, byłam świadkiem, że się oglądał — przerwała Marya.

— I ty przeciwko mnie! Babuniu! każ jéj klęczéć, buntuje się przeciw swojéj najlepszéj przyjaciołce.

Jeszcze chwilkę w ten sposób ciągnęła się rozmowa, gdy wniesiono kawę dla staruszki. Właśnie Julka najpocieszniéj dopominała się o wywiedzenie o swoim nieznajomym, gdy Wojciech stary sługa pani starościnéj wniósł na tacy imbryczek, filiżankę i dwie grzaneczki.

Nie obejdziemy się bez blizkiego zapoznania z panem Wojciechem: był to dawny pacholik starosty, potém pokojowiec, aż nareszcie kamerdyner starościnéj od śmierci jéj męża. Siwy i stary, ale rzeźwy i prosto się jeszcze trzymający, z wesołą twarzą, dobroduszności pełną, wszedł pan Wojciech do pokoju. Ubrany był w szpencer szaraczkowy, z którego jednéj kieszeni ogromna wyglądała tabakierka, w jedném uchu kołysał się ogromny kolczyk złoty; chustka czarna z wielkiemi końcami, na wysokiéj duszy obwinięta, podtrzymywała głowę jego, może mającą ochotę trochę się na karku pochylić. Wygolony świéżo, choć włos byłby mu może pokrył gęste zmarszczki wcale nie pożądane, na ustach miał uśmiech prawie młody.

Uśmiech ten i żywo biegające oczki, a razem dewizki od zegarka, misternie zawiązana chustka i kolczyk, zdradzały słabość nieszczęsną, która życie pana Wojciecha zatruła. — Kochał się! kochał do siedmdziesięciu lat bez ustanku i dotąd ożenić się nie mógł, a że tego pragnął!! i jak pragnął, wiedzą co go znali. Miłość była życia jego żywiołem, jasném słońcem dnia, który niestety skłaniał się już bardzo ku zachodowi.

Nie było w garderobie pani starościnéj piętnastoletniego dziewczęcia, do któregoby nie wzdychał pan Wojciech, któregoby wzajemności nadzieją nie miał prawa cieszyć się choć godzinę. Służył téż swym ulubionym z poświęceniem godnym lepszéj nagrody; wszystko co miał było dla nich, karmił je, woził, sprawiał wieczorki, kupował prezenta, a nigdy potém zdradzony, nie pożałował nawet swych ofiar, kontentował się przekleństwy na *płeć niestałą i zdradliwą*. Naówczas to sypał z za rękawa w kredensie anegdotki o niegodziwości kobiét i przewrotności ich charakteru świadczące, klnąc się, że nigdy póki życia, więcéj na żadną nie spojrzy, naówczas śpiéwał jak mógł i umiał. — Płci sroga! płci okrutna, *text* ulubiony godzin wieczornych zwątpienia. Przecież nazajutrz kochał się znowu. Był to już nałóg taki, a w siedmdziesięciu leciech, któż się wykuruje z zastarzałego nałogu? Zresztą był to najpoczciwszy, najlepszy człowiek, wszyscyśmy słabi, przebaczmy mu, a że im był starszy i czasu do kochania mniéj mu zostawało, tém mocniéj się kochał—cóż w tém proszę dziwnego?

Gdy Wojciech z kawą starościnéj wszedł do pokoju na palcach, uśmiechając się i wdzięcząc, a głowę bardzo prosto usiłując utrzymać, Julka porwała się żywo i chwytając go za rękę spytała:

— Wojciechu! znasz wszystkich w sąsiedztwie?

— Jakże pani? a kogożbym nie znał, toż to już (zadławił się liczbą, nie widząc potrzeby wdawać się w kompromitujący rachunek)—już, dawno dosyć tu mieszkamy.

Staruszka bojąc się żywości wnuczki, dała jéj znak i sama poczęła wypytywać starego Wojciecha.

— Bo to mój kochany Wojtku, ktoś Julcię w lesie przestraszył!

— Jakto JW. pani? w lesie?

— Na siwym koniu, jakiś młody człowiek, tylko co ich nie roztratował.

— Na siwym koniu! młody człowiek!—rzekł nakrywając serwetę Wojciech mocno zadumany. — Młody człowiek na siwym koniu! Zaś! któżby to był? Pan Ciemięga.

— Ależ go znamy i nie młody.

— Jużciż nie ma czterdziestu.

Julka śmiać się zaczęła: — Ale to bardzo młody człowiek.

— A! bardzo młody człowiek! to może pan Tadeusz.

— Zmiłuj się!

— Ten nie ma jak trzydzieści kilka.

— Ależ my tych panów znamy, to ktoś całkiem nieznajomy.

— Któżby to mógł być całkiem nieznajomy! A jakże proszę panienki wyglądał?

— Przystojny, słuszny, ciemnego włosa, koń pod nim siwy, na nim sukmanka, róg i strzelba.

— Koń siwy! nawet wierzchowca siwego nie znam w sąsiedztwie. Tylko u księdza proboszcza w dyszlu chodzi hreczką zasiana kobyła.

Julia pękała od śmiéchu. — Ale mój Wojciechu to koń prześliczny! mówię ci prześliczny i nosił go.

— Piękny kiedy nosił! no! no! Dalipan trudno zgadnąć, ktoby to mógł być taki. — I jakby dla podsycenia myśli opieszałéj, Wojciech zażył tabaki sowicie, cofając się do drzwi. — Przecież—mówił dalej powoli—znamy całe sąsiedztwo.

— Właśnie to i mnie dziwi—przerwała Julka—ale poszukaj no tylko po głowie, może i nie wszystkich znamy.

Wojciech się uśmiechnął.—Jużciż—rzekł—znamy co jest lepszego, a téj tam drobnéj szlachty i szlachetków, ktoby ich liczył!

— Kochany Wojciechu, ludzieć to jak my! pracowici, poczciwi, czemuż ich już za nic rachujesz.

— No, ale bo widzi panna—rzekł stary poprawiając się — żaden z téj szlachty nie może miéć pięknego siwosza wierzchowca, więc...

— A niktże nam nowy nie przybył w sąsiedztwo, żaden młody człowiek, coby gdzie był w podróży długo, na naukach, lub podobnie?

Stary skrobał się po wyczesanéj czuprynie, któréj siwiznę napróżno farbując, utrzymywał, że był winien nie wiekowi, ale używanéj dla połysku pomadzie.

— Nie, zdaje mi się, że nie.

— Więc tém dziwniéj!—zawołała Julka.

— Dajże pokój pytaniom — łagodnie przerwała staruszka — dzięki Bogu nic ci się nie stało, a na co ci ta próżna ciekawość.

— Moja babunieczku—wdzięcząc się odpowiedziała po cichu wnuczka — coby też człowiek był wart bez ciekawości? Przytém jestem kobiétą, a nas już tak za tę wadę okrzyczano, że możemy jéj sobie pozwolić; bo czy ją będziemy miały czy nie, zawsze ją nam przypiszą.

Starościna pocałowała ją w czoło, śmiejąc się, a Wojciech zabrał tacę i zamyślony oddalił się.

Przez cały czas opowiadania i rozmowy Marya siedziała daléj trochę, ze spuszczoną głową, milcząca i niekiedy tylko uśmiechem dawała wiedzieć, że słyszy co koło niéj mówią, choć widać było, że ją to nie wiele obchodziło. Niekiedy jakby z zazdrością spojrzała na wesołą Julię. Lecz była li to zazdrość czy politowanie? I dla czego Marya tak młoda jeszcze, tak już była smutną? Opowiédzmy jéj życie, przez nie najlepiéj poznamy charakter Maryi; przeszłość nasza to my sami.

Marya była daleką krewną starościnéj; rodziców straciła wcześnie, i nim się dostała do domu teraźniejszéj swéj opiekunki, dziwne przebyła koleje. Dzieckiem dostała się w ręce opiekuna, który zmarnotrawiwszy swoją majętność, czyhał na spadek po Maryi. Sierota w zapomnieniu i nędzy prawie spędziła dzieciństwo; późniéj rozwijająca się jéj piękność nagle zmieniła myśli starego rozpustnika, który straciwszy żonę, nie mając dzieci, zamierzył ożenić się z Maryą, nie przewidując, aby bojaźliwe dziewczę sprzeciwić mu się miało. Nagle oddano ją na dwuletnią naukę, ustrojono, opatrzono we wszystko i opłacono sowicie najemną opiekę *Madame*, któréj powierzoną została. Tu Marya spędziła w rówienniczek towarzystwie najsłodsze dwa lata życia; lecz po nich gdy rozwinięta na umyśle, poznawszy świat i uśmiechnąwszy się ku niemu powróciła do opiekuna, jakie ją czekały cierpienia!

Stary wdowiec wszelkich używał sposobów, aby opór niespodziany Maryi pokonać i zmusić ją do ślubu. Biédne dziewczę całą siłą przeciwiło się temu; starzec nie zważał i występkiem najszkaradniejszym dopełnił miary dawniejszych. Wkrótce potém zużyty, zgryziony, jak bydle skonał, śmiejąc się z życia, szydząc z siéroty, pytając gdzie jest Bóg co karze. Biédnéj Maryi oswobodzonéj pozostała wolność, któréj użyć nie wiedziała jak, sama jedna była na świecie, młoda a zwiędła, z sercem czystém, a skalana, znużona życiem nim je poznała, upokorzona choć niewinna. Szczęściem starościna dowiedziała się o dalekiéj krewnéj i zabezpieczywszy majątek, którego opiekun stracić nie mógł, wzięła ją do siebie.

Obejście się szkaradne starca, było tajemnicą pokryte i téj tylko winna była Marya, że starościna nie wahała się przyjąć ją za towarzyszkę dla Julii. Nikt nie wiedział przeszłości, a przecież opłakiwała ją siérota i za cudzy pokutowała występek. Przyszłość była dla niéj zamkniętą. Bóg tylko i klasztor pozostały jako jedyna ucieczka. Starościna przecież wiedząc ją majętną, młodą i piękną widząc, nie chciała dozwolić, żeby się w klasztorze zamknęła. A gdy siérota prosiła o to ze łzami, odpowiadała jéj:

— Późniéj, dziécię moje, późniéj. Lepiéj się namyślić trzeba, ofiarując Bogu. Gdybyś raz jeden potém miała żałować ofiary, zniszczyłabyś jéj wartość, dziécię moje.

— O! ja nie pożałuję jéj nigdy!

— Nie wiész! młoda jesteś, poczekaj.

I Marya zmuszona pozostać na świecie, bo czuła w duszy, że oddać się nikomu nie mogła, splamioną będąc bez grzechu, bez kłamstwa, szła daléj a daléj, nie śmiejąc nawet spojrzéć na świat i ludzi. Dla niéj nie było obojga.

II.

Kilka dni upłynęło od owego wieczora, który dotąd niewyszedł z pamięci Julki; dopytywała ona troskliwie wszystkich o swego nieznajomego nie-

tylko domowych, ale sąsiadów odwiedzających Dąbrowę, śmiano się z trzpiota i ona sama z siebie. Babka zakazywała napróżno tego zajęcia niewiedzieć kim, niewiedzieć dla czego? ale młodemu dziewczęciu, tak samowolnemu jak Julka, zakazać było najtrudniéj. Zakaz ją jątrzył, niepodobieństwo nęciło, tajemnica podbudzała, a nieznajomy wyrastał w ślicznéj jéj główce na bohatera. Marya naprzód usiłowała przekonać krewnę, że to był ktoś zapewne przypadkowo w tych stronach przebywający, że odjechał, że go więcéj nie zobaczą. Na te słowa Julia porywała się jak lwica, i uderzając rączką po stole, wołała — nieprawda! nie! ja go muszę widziéć! to być nie może, — wjechał w naszą rozmowę wyraźnie jak posłaniec losu, to się tak skończyć nie może.

— Dziécię drogie, cóż to — czyś go już pokochała — czy co? bo prosta ciekawość nigdy tak namiętną nie bywa.

— Tak, moja droga mentorko, ale że u mnie twéj najniższéj sługi wszystko jest gwałtowne, dziwne i niepospolite, moja więc ciekawość przybiera też pozór niezwyczajny.

— Czémże będzie twoja miłość?

— O! kładąc rękę na sercu odparła Julia, zobaczysz — zobaczysz! mówiłam ci pamiętasz tego wieczora, gdyśmy go spotkały — miłość moja nie będzie podobna do niczego, co to wy tém nazywacie imieniem. Będzie to kwiat aloesu, co wystrzeli raz w życiu, ale ludzie mogą się zbiegnąć, żeby go zobaczyć!

Marya westchnęła i spuściła oczy.

Wieczór znowu wyzywał na przechadzkę.

— Chodźmy, zawołała Julka, pod dęby, gdzieśmy go wówczas spotkały, a nuż się tam znowu ten król sylfów ukaże?

— Patrz, chmura na zachodzie czarną ławą stoi.

— Ty się boisz burzy?

— Wiész, jam siérota, nawykłam się lękać i boję się wszystkiego.

— Biédna moja! ale zemną czegoż byś się bała, a przytém burza daleko, jeźli przyjdzie, to chyba w nocy; pójdę, babci się opowiem, żeby nie myślała, żem uciekła, i — pójdziemy. Dla większego bezpieczeństwa Staś ogrodniczek pójdzie za nami.

— Jak chcesz, jam ci posłuszna.

— Posłuszna! ja bo nie chcę twego posłuszeństwa — a pójdzieszże z ochotą?

— O! z ochotą, odparła uśmiechając się Marya, ty wiész jak lubię lasu ciszę i przechadzkę, cóż dopiéro z tobą. Burzy się trochę boję, ale więcéj dla ciebie, niż dla mnie.

Julka już porwawszy kapelusz poleciała do babki, powróciła od niéj i narzuciwszy szalik na białe ramiona, zawoławszy Stasia ogrodniczka, pociągnęła Maryę za sobą w topolową ulicę.

Długa droga polem i lasem ciągnąca się przed niemi, którą obie ciekawém mierzyły okiem, pusta była zupełnie. Przyszły rozmawiając pod stare dęby i wysławszy Stasia, żeby im kwiaty leśne zbierał, zaczęły rozmowę.

O, młodych rozmowo! ze złocistych wyrazów, z złotych myśli złożona, któż cię powtórzy taką, jaką ty jesteś, kiedy z ust lecisz różowych! O myśli młode! o uczucia młode! co jak białe chmurki przelatujecie bez powrotu, któż was odtworzy w całéj krasie, lekkości, z całą duszą waszą? Nie! nie! to są niepowrotne zjawiska, a wspomnienie daje tylko skielety — nie odtworzy tych myśli i wyrazów. Póżniéj i późniéj, i myśl i słowo sunie się po ziemi jak czarny dym na słotę; ale w tych latach wybranych, jakże daleko niosą skrzydła po obszarach zaczarowanych, jak słodko leci myśl z nadzieją, z uśmiechem i miłością?

Nikt młodéj nie powtórzy rozmowy, może aniołowie w niebie, a drudzy młodzi na ziemi. Ale nam starym sercem, starym wiekiem, zużytym i złamanym, gdzie wyżebrać duszy tyle ile jéj ma młodość, zkąd wyżebrać jéj skrzydeł? Tak! ona jedna ma skrzydła, może skrzydła Ikara, ale jak miło podlecióć niémi, choćby paść potém i utonąć. Rozmowa młoda, to szał, to śpiéw, to poemat cały, to coś jak lot ptaka, który na wiosnę z gniazda ku słońcu się podniósł i gania się po powietrzu swobodny, nie przeczuwając burzy, co mu gniazdo wywróci, ani ulewy co skrzydła obmoczy, ani jastrzębia co nań czyha. Julia mówiła, słuchała Marya i rzadko tylko rozczarowanéj tęskne słowo, smutne, głębokie jak nieszczęście, przerwało ptasze szczebiotanie dziewczęcia, co życie swe całe puszczała z ust wyrazem. W tém zaszeleściało za niemi, sądziły obie, że Staś ogrodniczek powracał. Julia krzyknęła i porwała się. Nieznajomy na białym koniu, ale powolnym stępem, zbliżał się ku nim.

Zamyślony, podniósł głowę dopiéro, gdy je zobaczył i z uśmiechem skłonił się Julce, któréj oczy jak w tęczę wlepione były w niego.

— O! co teraz — szepnęła Julia do Maryi — to go nie puszczę, aż mi się zaprezentuje.

— Dziécię, zlituj się—przerażona zawołała towarzyszka—zrobisz dziecińst wo, nieprzyzwoitość! Babunia gniewać się będzie!

— Nie bój się, będę bardzo rozumna.

Nieznajomy zatrzymał się o kilka kroków.

—Przepraszam,rzekł, przestraszyłem panie znowu, potrzeba takiego wypadku, żebym już drugi raz zabłądził w cudzy las i zawsze tu.

—Widać, żeś pan obcy w téj stronie,rzekła Julka.

— Tak, od niejakiego czasu, rumieniąc się odpowiedział młody chłopiec — chociaż...

— Ja nie pojmuję jak tu zbłądzić można, lasy nasze tak małe.

— Ale góry i wąwozy, jamy, dla kogoś, co ich zapomniał, całkiem bałamucą.

— Pan jak widzę, lubi polowanie.

— Nie pojmuję mężczyzny mojego wieku, coby konia i strzelby nie lubił. Ale ja paniom przerywam rozmowę, a nieznajomy, obcy, nie powinienbym nawet i słowa przemówić. To przeciw wszelkim zwyczajom.

— Na wsi nie jesteśmy tak ceremonialni.

— A! co za ładny konik! zawołała Julka przypatrując mu się i usiłując już urywającą się zawiązać znowu rozmowę.

— Konik mój, *Łebed'*, prawda że piękny, ale cóż jego piękność przy jego przymiotach.

— Najważniejszy, że nosi.

— Tak — śmiejąc się odpowiedział nieznajomy—ale mnie wybornie zaniósł.

— W istocie, tylko co nas pan nie roztratował, to wybornie.

Marya napróżno ciągnąc za szalik, chciała Julię od rozmowy powstrzymać, ta jéj się zupełnie zbuntowała.

— Ale widzi pani, jak teraz spokojny.

— Cóż, kiedy daleko piękniejszy mi się jeszcze wydawał gdy nosił.

— O! chciał się oswobodzić!

— Pan mieszkasz daleko? — niecierpliwie spytała Julka.

— Nie bardzo.

— Bo słońce zachodzi, a może —

— O! — spojrzał na słońce — Lebed' zaniesie mnie, choćby o mil trzy przed zachodem słońca.

Marya nic nie mówiła, niespokojna, tylko okiem mierzyła nieznajomego ciekawie, smutno jak zawsze; on także kilka razy spojrzał na nią.

Nadszedł ogrodniczek z ogromną wiązką kwiatów, i to przerwało rozmowę. Nie było czém związać zerwanych roślin, i gdy się około nich zajmować poczęła Marya, nieznajomy skoczył z konia lekko, dał go w ręce Stasiowi, a sam odwiązawszy zielony sznur od myśliwskiego rogu, ofiarował go do skrępowania rozsypujących się starodubów, polnych róż i kampanulli. Obie panny przyjąć nie chciały téj pomocy, a zręczna Julia, po naleganiu nieznajomego, już sznur trzymając w ręku, zawołała:

— Najprzód od obcych i całkiem nieznajomych nic się nie przyjmuje; powiész więc nam pan kto jesteś, powtóre powiész gdzie mieszkasz, bo chcemy ten piękny sznur panu odesłać, chociaż wybornie byśmy i bez niego się obeszły.

— Kto jestem — rumieniąc się powtórnie rzekł młody chłopiec — mówić nie warto, gdzie mieszkam? sam nie wiem. Dziś tu, jutro gdzieindziéj. I czoło mu się zachmurzyło widocznie.

— Chcesz nas pan intrygować.

— Nic a nic, ale powtarzam paniom, moje nazwisko obce nicby nie powiedziało. — To mówiąc ukłonił się, spojrzał powoli na Julię najprzód, potém na Maryę z jednakim wyrazem, zbliżył się do konia i ledwie chwycił za cugle, już im z oczu zniknął. Julia cała zniespokojona zawołała:

— O, na ten raz, to coś doprawdy niepospolitego, jakaś tajemnica, niechcieć powiedzieć nazwiska.

— Gorzéj moja Julko, żeś tak niepotrzebnie wdała się w rozmowę.

— Maryo! ty zawcześnie mniszką siebie i mnie chcesz zrobić w dodatku. Cóż tak złego, rozmowa! obojętna!

— Mówiłaś tak żywo.

— Wiész że inaczéj nie umiem.

— Co on pomyśli o nas?

— Co? żeśmy młode i ciekawe.

— A jeśli powié sobie zalotne?

— Maryo droga, alboż my tego potrzebujemy? mój Boże, nie dośćże jednego spojrzenia twoich ciemnych łzawych oczów, moich niebieskich wesołych, żeby uplątać człowieka. I przyznam ci się, patrzałam na niego z całéj siły, a jeśli go to wejrzenie nie zapali, nie rozmarzy, nie pociągnie, o! gotowam jak ty wstąpić do klasztoru.

— Widzisz Julciu, to już zalotność. Tyś zimna, a chcesz go pociągnąć ku sobie, jest to występkiem, droga moja.

— Zimna, a któż ci to powiedział?

— A! co ty pleciesz, to gorzéj jeszcze.

Julka piérwszy raz zarumieniona, ukryła twarz na ramieniu towarzyszki, ale rychło podniosła ją śmiejąc się.

— Widzisz jakem cię nastraszyła, ale ja żartowałam tylko; o! wierz mi, to było żartem. Któż się może tak nagle pokochać?

— Siostro, bo mi cię tak wolno nazywać, nikt inaczéj nie kocha jak nagle. Słyszałam, czytałam, wiem, miłość przychodzi z jedném wejrzeniem.

— Doprawdy? możeż to być?—I Julka poczęła żartować, a tak wpół seryo, wpół śmiejąc się doszły do dworu, Marya zwróciła się do ogrodu. Julia do babki, ale wprzód rozwiązała kwiaty i sznur zielony uniosła z sobą. Już w ganku zastanowiła się przyglądając mu bacznie i z uciechą dziecinną postrzegła na kutasach sutych wiszących, u końca głoski J. D., zapewne poczynające imie i nazwisko właściciela. Pospieszyła do babki ze swoją zdobyczą, i choć staruszka łajała ją trochę, choć naganiała rozmowę, a bardziéj jeszcze zabranie sznura, potrafiła się wytłumaczyć, uniewinnić i pocałunkami a pieszczotami wymówić od napomnień. A bojąc się, by wina nie spadła na Maryę, wcześnie wszystko wzięła na siebie.

— Teraz — rzekła do babki — musimy koniecznie dowiedzieć się kto to taki. Przypatrzyłam mu się, widać że dobrze wychowany i majętny chłopiec, choć w sukmanie jeździ. Koń drogi i piękny, wszystko koło niego wytworne, bogate prawie. Babciu, to być nie może, żebyśmy się nie dowiedziały, co to za jeden przecie.

— A jaki z ciebie ciekawiec! — kiwając głową rzekła staruszka—jużciż ci dogodzić potrzeba, bo tajemnica główkę ci przepali.—Sięgnęła za dzwonek i w téjże chwili prawie Wojciech się ukazał.

— Poprosisz do mnie pana Łady.

— Natychmiast JW. pani. I wyprostowany starzec odwrócił się i wyszedł.

— Teraz dziecię, proszę cię, przejdź za krzesło moje, weź książkę w rękę i jak mnie kochasz do niczego się nie mieszaj.—Jak mnie kochasz! — powtórzyła babunia, a nad to zaklęcie nie było dla Julki większego. Siadła więc za staruszką i milczała, bo już poważny krok pana Łady dawał się słyszéć w sąsiednim pokoju.

Łada, stary szlachcic, dobréj tuszy, tęgiego wąsa, okrągłego brzucha, był rządzcą majątku starościnéj. Poczciwy człowieczysko, zagorzały myśliwiec, miał tylko jedną wadę, że był gaduła nieznośny, zaczepiwszy go, odczepić się od niego nie było podobna. Od słówka do słówka, zmyśli na myśl naskakując, zapytany o pogodę, opowiadał całe życie swoje.

Miło było spojrzéć na starego Ładę, którego rumiane policzki, wesołe oko, uśmiechające się usta, czoło wypełzłe trochę, ale bez zmarszczka, znamionowały zupełnie szczęśliwego człowieka. I pan Łada opowiadał też, że był bardzo szczęśliwym człowiekiem całe życie, nie zapierając się szczęścia wcale; do tego stopnia szczęśliwym, że gdy już żony swarliwéj i pijaczki poczynał niemódz znieść dłużéj—żona mu nawet w sam czas jakoś umarła. Suta czamara granatowa okrywała rządzcę, który zbliżając się do progu starościnéj, począł iść na palcach i nareście uchylił drzwi powolnie, kłaniając się rozweselony, nim wszedł jeszcze.

— Mój kochany Łado, poczęła starościna, kto téż to obcy jakiś, już podobno drugi raz w naszym lesie i pod samym prawie dworem w dąbrowie poluje? moje panienki już go tam drugi raz spotykają.

— Obcy! JW. pani! obcy w dąbrowie, jak Pana Boga kocham, wstyd mi wyznać, ale doprawdy nie wiem. W całéj okolicy JW. pani znam wszystkich myśliwych, ale nikt na nasze ziemie się nie zapędza.

— Przecież mój Łado —

— JW. pani mi daruje, że nie wiem, ale w istocie, samemu mi wstyd.

— Któżby to mógł być? — spytała staruszka powolnie — młody, przystojny, na bardzo pięknym siwym koniu i tak zdaje się coś z pańska.

Pan Łada słupiał, ramiony ruszając.—Że nie wiem

to nie wiem — rzekł — ale dowiedzieć się muszę, chociażby niewiedzieć co mnie to kosztować miało. Bo juźciż to takie nadużycie, i co nadto, to nadto! podedworem!

— Zdaje się, że nazwisko jego od D zaczynać się musi.

— JW. pani sądzi?—wytrzészczając oczy rzekł p. Łada. — Od D? od D? Jest bo wiele (bez złéj myśli) takich co od D się zaczynają. A najprzód pan Depczak z Koziéj Woli, którego córka poszła za Krzywaczyńskiego z Bzowicz, ale to nędzota; potém Dermański, ale to posesor, i Dazigrodzki, co to był ekonomem w dobrach Radziwiłłowskich i, jeszcze a! Darmula, szlachcic, ale i to uboż. — Wszystko od D to uboż JW. pani. Ażeby tak z pańska coś być miało, to nie wiem, w całéj taki okolicy. A chwalić Boga, zjadłem tu także nie jedną beczkę soli w tych stronach, ot i u JW. państwa osiemnasty rok, i ludzie mnie i ja ludzi znam. Zamyślił się. — To coś dla mnie niepojętego, doprawdy jakaś zagadka!

Korzystając z téj przerwy starościna, usiłowała go pożegnać słowy:—No, to się dowiész panie Łada, i doniesiesz mi.

— A jakże JW. pani, muszę się dowiedzieć Jednakże to coś osobliwego! żebym ja kogo w tych stronach nie znał, a jeszcze z waszecia.

Byłby nieskończenie prawił, bo już mu się zbiérało na wyliczenie systematyczne wszystkich sąsiadów, gdy starościna znowu pożegnała go:—więc do zobaczenia. Rad nie rad wysunął się za drzwi mrucząc, ale zaraz w przedpokoju złapawszy Wojciecha, półtory godziny go wytrzymał po setny raz mu opowiadając, jak w r. 1812. kozacy go zbili, jak uciekał, jak się w lesie chował, jak mu tam jeść nosiła nieboszczka żona, jak potém przez wdzięczność ją poślubił, jak go gryzła, jak go męczyła, jak umarła, jak po niéj płakał i t. d.

Wojciechowi nogi od stania mdlały, ale wstydził się do tego przyznać, żeby nie przypisano wiekowi, co on sam tylko na znużenie zwykł był składać. Następne dnie upłynęły w zupełnie próżnych poszukiwaniach czynnego pana Łady, który rad z pretekstu ugadał się przynajmniéj do chrypki. Niepospolicie jednak martwiło go niepowodzenie i przed oczy starościnéj nieśmiał się stawić. Nikt w okolicy nie znał ani młodego człowieka, ani siwego konia. Wnosząc z kierunku, w którym przybywał, i drogi jaką odjeżdżał, rządzca w jedną szczególniéj kierował się stronę, ale nie było kąta któregoby nie splondrował, a napróżno.

W tydzień jadąc wózkiem za interesem do miasteczka, na gościńcu spotkał się z nieznajomym, kubek w kubek do opisanego mu podobnym; ale nim się przybrał począć z nim rozmowę, siwy koń uniósł go daleko. Pan Łada kazał w czwał jechać chłopakowi za nim; zgubił czapkę, załamał się na dziurawym mostku i klnąc usiadł na kilka godzin wstrzymany złamaniem dyszla i koła.

Prawda że naklął się i nagadał co mógł, ale to na nic mu się nie zdało.

Już tedy zdawało się niepodobieństwem odkryć dziwnie ukrywającego się gdzieś młodzieńca, i Julka coraz bardziéj nim zajęta najdziwaczniéj marzyła, gdy znowu przyszła jéj chętka pójść na przechadzkę z Maryą do dąbrowy. Napróżno odradzała towarzyszka; zepsute dziécię nie chciało rozumieć rady, a gdy mu zabrakło wyrazów i konceptu, poczynało tak prosić, tak ściskać, tak pieścić Maryę, że siérota ze łzami w oczach robiła wreście co chciała Julka.—Oprzéć się jéj było niepodobna. Poszły więc w dąbrowę, znów usiadły na murawie, ale Julka już oka nie spuszczała z gęstwiny, którą dwa razy zjawił się ciekawy młodzieniec.— Na ten raz napróżno siedziały do mroku, słońce zaszło i musiały powrócić do dworu. Julka była smutna nad swój zwyczaj, zamyślona i oczy jéj zachodziły łzami. Marya choć z bólem serca rozweselała ją, usiłując udać wesołą.

Wymyślała zajęcia, zabawy, czytania, prowadziła do kwiatów, zachciewała grać na cztery ręce, słowem czyniła co mogła żeby rozerwać Julię, ale napróżno. Starościna nawet postrzegła zmianę we wnuczce i przestraszona wziąwszy na bok Maryę, rozmówiwszy się z nią, wieczorem oznajmiła, że w miasteczku ma być bal na kościół dany i że należałoby tam pojechać.

Oddawna starościna sama nie ruszała się z domu, ale w razie potrzeby Maryę z Julią oddawała pod opiekę sąsiadki, dalekiéj krewnéj starosty, pani podkomorzynéj, która podejmowała się z chęcią wozić i bawić piękną Julię. Choć porównanie własnéj córki z dwoma pięknemi panienkami niebardzo dla niéj było korzystne, przecież ku krzesłom gdzie siadały, płynęła młodzież, mógł się ktoś zająć panną Matyldą; a zresztą dobrze było pochwalić się choć karetą starościnéj, jeżli nie jéj pokrewieństwem. Ale Julka dotąd ochocza do zabawy, wręcz teraz odmówiła babce.

— Po co my tam pojedziemy! to będzie nudne! Bal w lecie, kto to widział!

— Ale moje serce, trzeba żebyście tam były— to na kościół, który murować mają ze składki, z loteryi i z dochodu biletów.

— No, to dajmy co potrzeba, a nie jedźmy.

— Jeżli od nas nikt nie będzie i inni sąsiedzi nie pojadą — odparła starościna, a oni nie jadąc, nie dadzą nic. To po części obowiązek.

— O! babciu droga, kiedyż ja tak tych balów nie lubię!

— Cóż ci to— niedawno jeszcze wyglądałaś go i dopytywałaś o niego.

— Ale teraz jechać niechcę.

— Namówisz się, serce moje, zrobisz to dla mnie.

— Każe babunia? I spojrzała na nią.

— Na ten raz — każę.

— A no, to i pojedziemy!

Natychmiast posłano do podkomorzynéj i poczęto robić przygotowania do balu.

Za trzy dni następował dzień ten uroczysty w powiatowém miasteczku, dzień, o którym mówiono od miesiąca, do którego przysposabiano się z myślą zaćmienia balu, któren na podobny przedmiot przed ośmią tygodniami dany był w drugiém mieście powiatowém. Chodziło tu o honor powiatu, nieszczędzono więc niczego, aby daleko za sobą zostawić wspomnienia balu, którym chlubili się sąsiedzi. Nietylko najbliżsi obywatele, ale wszyscy urzędnicy niezmiernie wzięli do serca pokazać się, wystąpić. Największa sala ratuszowa, od tygodnia bieliła się, myła, woskowała, porządkowała i opatrywała w meble napożyczane z sąsiedztwa i z miasteczka. Sam JW. marszałek i JW. marszałkowa obrani byli gospodarzami balu, a że trafiło się raz dla interesów heroldyjnych być JW. marszałkowi w stolicy, obiecywał więc wszystko urządzić po *petersbursku*, tak mówił.

Swiéce wszystkie co do jednéj były stearynowe, bo w balu o którego przyćmienie chodziło, połowa

ich okazała się łojową. Podłogę wywoskowano jak szkło; zamiast Żydów sprowadzono dwunastu Czechów, a bufet podjął się zaopatrzyć Pirati cukiernik, o którego wielkiéj umiejętności w swéj sztuce nikt nie wątpił. Wszyscy wiedzieli, że był Szwajcar i umiał nawet likworowe robić cukierki.

Ile gratów i rupieci nazwożono do ratusza w ostatnim bal poprzedzającym tygodniu, policzyć się nie da. Sama pani sprawnikowa urządziła pokój spoczynku dla tanecznic; sam sędzia zrobił rewizyę bufetu, i wykosztował wszystkiego co podawaném być miało; podsędek zaś dobierał wina, i gdy w sąsiedniém miasteczku wypito tylko szesnaście butelek szampańskiego wina, tu przygotowanych było trzydzieści i to daleko przedniejszego. Wszystkie zresztą butelki były z karteczkami drukowanemi, co im niezmiernie dodawało smaku.

Po pomarańcze posłano sztafetę do guberskiego miasta, a marszałek w pole hiszpańskiego płaszcza przyniósł sam cztery nadgniłe ananasy do ustrojenia stołu.—Ot tak!—rzekł—niech znają naszych! Tylko mi ananasy po wieczerzy oddacie.

W okolicy z powodu strojów, na które się wysadzano, ruch był niesłychany. Posłańcy latali do miasteczka po kilka razy na dzień, Żydzi uwijali się biédami i oklep, a pani marszałkowéj sążnisty kozak zbił się tak w ostatnich trzech dniach, że się położyć musiał. Listy zapraszające rozesłane zostały z usilną prośbą na wszystkie strony, chodziło bardzo o liczbę osób, choćby ich nie było gdzie pomieścić. Marszałek powtarzał ciągle: Będzie *po petersbursku* — *grandioso* moci panie, *grandioso*, co się nazywa!—Loterya też obiecywała nagrodzić, co honor nakazywał uszczerbić z dochodów biletowych na kościół przeznaczonych. Większa część losów była sprzedana, inne po piérwszéj lub drugiéj kolei kielichów rozdać spodziéwano się. Najpiękniejsze damy, a w ich liczbie marszałkowa mimo czerwonego nosa, prawem urzędu umieszczona, roznosić miała bilety—spodziewano się cudów.

Dzień wielki, pamiętny, zbliżał się i na ostatnich godzin kilka okazało się tak wiele jeszcze do zrobienia, gdyż wszyscy do ostatka coś odłożyli, że w miasteczku gwar i ruch był jak w czasie pożaru. Tego już opisywać nawet niepodobna. Wszyscy byli jedném zajęci—balem; w obliczu jego równały się klassy towarzystwa, i sekretarz sądu powiatowego zarówno z kancelistą strapczego roznosili ważniejsze rozkazy dopełniające przygotowań stanowczych. Marszałek kłócił się osobiście z żydami. Sędzia własną ręką przesuwał krzesła i kanapy. Zamieszanie było ogromne, ale z tego chaosu wynijść miał świetny bal i zwycięztwo—wszystko się od chaosu poczynać musi.

We wszystkich domach przez oświecone okna widać było ubiérające się damy, które w pośpiechu i niecierpliwości okiennic nawet pozamykać zapomniały, co dozwalało młodzieży przypatrywać się gorsetom jakich nigdy nie widziała, i nie domyślała się nawet. W ratuszu pozapalane lampy ustawione w dwa rzędy, tłum ludu zbiérający się u drzwi i hałas niepospolity, któren napróżno starali się uśmierzyć ubrani paradnie budnicy, zwiastował zbliżającą się uroczystość. Do domów zajezdnych wjeżdżały coraz nowe kocze, karety, koczyki i bryczki.

Całe miasteczko było w gorączce, a chore panie i panowie, zmuszeni pozostać w domu, klęli słabość i doktorów. Marszałek, który najdokładniejszą miał wiadomość o przybywających i przybyłych przez nadwornego swojego faktora, nie bez pewnéj dumy postrzegł, że obywatele sąsiedniego powiatu w znacznéj liczbie, zwabieni jego balem przybywali. Pociągnął mocno kołnierzyka do góry i uśmiechając się rzekł, zażywając tabaki od sprawnika: — Niech się przekonają! *grandioso* będzie, *grandioso!* po petersbursku, nie w sposobie! co oni, to nie my—nie dosyć chcieć, trzeba umieć zrobić—*grandioso!* —

W téj chwili dano mu znać, że do drugiego pokoju świec stearynowych zabrakło, z powodu, że czuły na honor powiatu strapczy, kazał gęściéj oświécić salę tańców.

— A więc posłać do Chaimkowéj.

— JW. panie, nie ma u Chaimkowéj.

— A więc do Ajzyka.

— Ajzyk nie ma także, wszystkie wykupiliśmy.

Marszałek porwał się za głowę. Straszliwy moment, chwila stanowcza się zbliżała; miałże się z bezcześcić używając łoju?

— Nie! —rzekł— nie, powiedzą żem powiat mój opuścił, gdzie o honor jego chodziło; reprezentuję go i nie dopuszczę, aby z nas szydzić miano.

— Ale cóż poczniemy?

— Kupić świec woskowych!—zawołał marszałek, tak! droższe są, ale tu nad tém zastanawiać się nie możemy. Mówiłem, idź do Ajzyka, wziąć świéce woskowe, niech wié całe miasto, a w ostatku pożyczyć z zakrystyi u księdza proboszcza; wszak i to na chwałę Bożą się robi!

Tak dramatyczny ten wypadek heroizmem marszałka i jego przytomnością umysłu pamiętną w dziejach miasteczka, rozwiązany został.

Zresztą wszystko już poszło jak z płatka. Na końcu wprawdzie popiwszy się panowie urzędnicy, stare różne niechęci wzajem sobie wyrzucać poczęli i dwóch podniosło ręce na siebie, ale i ta trudność jednym tylko guzem całkowicie się ukończyła.

My wróćmy do początku balu. Karety i kocze zajeżdżają przed ratusz z kolei, muzyka brzmiéć poczyna, marszałkowa i marszałek z dumą przechadzają się po pustéj jeszcze sali. Początek wieczoru naznaczony był na godzinę ósmą, ale już i dziewiąta bije, a dotąd nikogo jeszcze nie ma prawie. Nikt nie chciał być piérwszym. Razem potém ze wszystkich karczem miasteczka wysuwają się powozy i na placyku przed ratuszem plączą się konie, koła, ludzie, psy, budnicy. Baryery się łamią, mostki trzeszczą, porządek wśród łajania woźnic, wśród krzyku kobiét wyglądających z powozów, i schrzypłéj komendy budników tracących głowy, z wielką trudnością przywrócić się daje. Ale wreszcie sala czarodziejskim sposobem się napełnia nagle, ze drzwi płyną falą postrojone damy, powyprężani mężczyzni. Marszałkowa i marszałek witają każdego wedle dostojeństwa i fortuny, rozsadzają, przyjmują. Oczy wszystkich zwracają się na ubrania naprzód, i żwawe rozprawy inaugurują wieczór. Pani B. ma inpertynenckie pióra. Pani S. pożyczane perły. Pani F. znajomą suknię aksamitną, którą zamaskowano tylko nowém ubraniem. Sekretarz sądu powiatowego odznacza się wspaniałą kamizelką z białéj mory, haftowanéj złotem, i z powodu jéj z wielką uwagą chodzi, nie śmié zażyć tabaki i rozrzuca poły wicemunduru, żeby nie powalać. Wszyscy kancelaryści, którzy mieli nadzieję zwrócić na siebie oczy przez kamizelki wspaniałe i choć w lipcu aksamitne, zgaśli przy sekretarzu. Sam marszałek ma mu nawet jego kamizelkę za złe i czmycha patrząc na nią.

— Marnotrawca — mruczy pod nosem.—Sekretarz widzi się być opuszczonym od wszystkich i czuje dumnym wśród zazdrosnych.—Któż im broni tym sknérom sprawić sobie podobną? — mówi sam

do siebie. W drugim końcu ubiór pani strapczynéj powszechną zwraca uwagę: ma suknię pąsową z zielonemi girlandami i ogromny turban na głowie. Sprawnikowa pyta się po cichu sąsiada:—Czy to basza turecki? śmiechy i ruszania ramiony poczynają się. Lecz sala się wypełnia i tańce otwierają. Wielka narada z kim marszałek pójdzie w piérwszą parę, kto w drugiéj poprowadzi JW. marszałkowę. Ażeby nikomu nie uchybić, zgodzono się wreście, po trzy razy poloneza zaczynać coraz z kim innym.

Podkomorzyna, przybyła z Julią i Maryą, wyznaczoną zostaje do piérwszéj pary i piérwszego tańca. Ze strony innych dam, które się zasłaniają wachlarzami i niby tego nie uważają, gwałtowna objawia się opozycya, ruszaniem ramion i pół-uśmiechami zdradzająca. Niektóre spojrzały na mężów, inne na marszałka; ale ten tak jest zajęty sobą i balem, że nic nie widzi i nie słyszy. Dumnie podniósł głowę i ręką swobodną wyciąga coraz nieszczęsny kołnierzyk do góry; poczerwieniał, spotniał. Jest czego! nie mała to rzecz dźwigać na sobie dostojeństwo gospodarza balu w małém miasteczku.

Julia, Marya i Matylda, wcale niepozorna panienka, córka podkomorzynéj, wzięte do poloneza znikły w tłumie.

Długim szeregiem powiódł marszałek gości po wszystkich pokojach, a zwłaszcza gdzie były świéce woskowe. Pamiętne te świéce, o których odtąd opowiadać lubił, są zwycięztwa jego nad sąsiady najpiękniejszą kartą, będzie o nich mówił całe życie — Znaj naszych!!

Czemuż Julcia tak lubiąca taniec, otoczona młodzieżą, dziś smutnie przeciwko zwyczajowi pogląda po sali, skarży się na ból głowy i wymawia od mazura? Nie wiem. Wzrok jéj błądzi dokoła; nareście zabrawszy towarzyszki poczynają przechadzać się po sali i sąsiednich pokojach. Nagle zastanowiła się utkwiwszy wzrok we drzwi i ścisnęła rękę Maryi.

We drzwiach ukazał się nieznajomy.

— O! co teraz, to się dowiemy o nim—zawołała po cichu, ale wnet tając niecierpliwość, odwróciła głowę i weselsza już poczęła żartować.

Młody człowiek, który w téj chwili ukazał się na sali, ubrany był bardzo skromnie, ale wytwornie. W ubraniu mężczyzny i kobiéty jedno nic odznacza smak i położenie towarzyskie człowieka. Krój sukni, dobór oddzielnych części, małe ozdoby konieczne, barwa i forma różnią na pozór jednakowo przystrojonych. Nieznajomy ubrany był jak najskromniéj, frak czarny, biała pikowa kamizelka, czarna chustka, niepostrzeżony łańcuszek zegarka, biały guzik u koszuli, składany kapelusz pod pachą, włosy miał dość krótko ucięte i zaczesane bez pretensyi, gdy lwy miejskie wszystkie swe konopiate grzywy pozadziérały na tył głowy i wypolerowały jak zwierciadła. Wszedł powoli, rzucił spojrzeniem spokojném w zgromadzeniu i nieznacznie przedziérał się ku środkowi. Że się z nikim nie witał, że nikt na niego nie zwrócił uwagi, wniosła ztąd Julia, że i tu nie musi miéć znajomych. Na przypadek spytała o niego Matyldy, ale *Tysia* (tak ją spieszczono zwano), przypatrzywszy się przez lornetkę, odpowiedziała — nie wiem kto to taki. — Nikt nie wiedział kto to taki. Podkomorzyna nadchodząca, niesłychanie ciekawa kobiéta, natychmiast poszła robić śledztwo, co jéj z pomocą licznych związków i znajomości najłatwiéj przychodziło. Milczeniem każdy odpowiadał — Dowiemy się — a nikt nieznajomego naszego nie znał. Julka niecierpliwiła się.

Nieznacznie i jakby przypadkiem zbliżył się zagadkowy młodzieniec do krzesła, na którém nasze panny siedziały. Julia nie myślała piérwsza go poznać, czekała żeby im się ukłonił, a czekała z biciem serca. Nieznajomy przywitał je, ale milcząco; zastanowił się trochę.

— A, i pan na balu?—spytała go Julia.

— Bal na cel tak święty, jakżeby na nim nie być?

— Zapewne, przytém tu wszystkich znajomych zobaczyć można.

— Ja nie mam znajomych.

— Jakto? nikogo?

— Nikogo, bo za znajomego paniom, które dwa razy tylko przestraszyłem, liczyć sie nie mogę. Ale ja wolę być nieznajomym na takiém liczném zgromadzeniu, to daje zupełną swobodę.

— Tak, zupełną swobodę nudzenia się — odpowiedziała Julia.

— Przepraszam panią, ja się nigdy nie nudzę.

— A! jakżeś pan szczęśliwy.

— Szczęśliwy!—i po namyśle dodał — w istocie pani, jestem szczęśliwy.

— Pan się przyznajesz do szczęścia! a to coś także osobliwego!

— Spojrzawszy niżéj siebie, każdy powiedziéć może, jestem szczęśliwy!

— Ale kto zwykł patrzéć do góry.

— Chociażby, nie samo szczęście i w górze.

— Prawdziwie, zadziwiasz mnie pan.

— Mnie więcéj dziwią ci, co nie są jak ja.

Julja uśmiechnęła się.

— Tańcujesz pan? spytała.

— Nie zawsze.

— Dla czego?

— O! długobym pani tłumaczyć się musiał. Taniec według mnie powinien być nie nakazaną i zapowiedzianą rzeczą, ale wynikłością wesela, szału młodości — szczęścia. Jeśli jestem w usposobieniu podobném, tańcuję.

— Ale pan mówiłeś, że jesteś szczęśliwy, powinieneś więc tańcować?

— Szczęście a wesołość, to wcale co innego, odparł nieznajomy. — Nie możnaż być szczęśliwym a smutnym?

— O! to już na oryginalność zarywa.

— Nie wyparłbym się jéj, gdybym ją miał, ani bym udawał nie mając. Udana jest śmiesznością największą, a naturalna cechą czasem czegoś lepszego, a przynajmniéj niepodległego umysłu.—Wracając do tańca— nawzajem panią spytam, czy będzie tańcować.

— Choćbyś to pan miał wziąć za naśladowanie, powiem mu, bo tak myślę — i ja także lubię lub nie lubię tańcu, od usposobienia w jakiém jestem.

— A dziś—?

— Niebardzo.

— Towarzystwo coraz się bardziéj ożywia.

— W istocie mazur ochoczy; ale mnie głowa boli.—Maryo ty byś może tańcowała?

— Ja? nie — krótko odparła Marya i spuściła oczy.

Gdy się ta rozmowa toczy u krzesła Julii, któréj oczy jaśnieją, podkomorzyna napróżno pyta i rozsyła się dowiedziéć, kto jest ten nieznajomy mężczyzna.

Sekretarz sądu powiatowego widzi w nim oczekiwanego co chwila urzędnika do szczególnych poleceń; marszałek domyśla się jakiegoś wysłańca z sąsiedniego miasteczka dla zdania sprawy z balu dzisiejszego; sprawnik dziwi się, że go nie zna, a obywatele jednogłośnie obwołali go jakimś obcym in-

truzem. Zaglądają mu w oczy, podchodzą, kręcą głowami — zgadują — napróżno. Nareście wynaleziono jakiegoś jegomości, który powiada, że widywał nieznajomego na siwym pięknym koniu, polującego w okolicach Dąbrowy.

Po chwili rozmowy odszedł od krzesła nieznajomy, przeszedł się po sali, ścigany wielą oczów i jakby przypadkiem powrócił ku Maryi i Julii.

Już też koło nich siedziała i podkomorzyna, obiecując sobie wystrzelić wprost zapytaniem w samą pierś tajemniczéj postaci.

Poczęto się uskarżać na gorąco, mówić o powrocie do domu, i najniezręczniéj w świecie podkomorzyna dłużéj już wytrzymać nie mogąc, odwróciła się ku nieznajomemu z zapytaniem:

— A pan daleko mieszka?

— Nie bardzo.

— Przecież? wszystkich nas to zastanawia, że pan jeden nieznajomy nam jesteś? Zapewne gościem tylko w naszych stronach.

— Jestem tutejszy rodem, ale gościem w istocie.

— Godzi się pana spytać?—nie dokończyła.

— Przepraszam panią, rzekł śmiejąc się młody człowiek— wiem jaki urok nadaje każdemu otaczająca go tajemnica i niechcę właśnie stracić jedynéj rzeczy, którą się tutaj odznaczam.

— I pan sądzisz, że się nie dowiemy o nim?

— Jestem tego pewny.

— Wyzywasz mnie pan? spytała podkomorzyna.

— Jesli to pani może zrobić przyjemność.....

— Przyjemność?— nie — wolałabym wiedziéć od razu, kto pan jesteś — ale jak skoro się temu opierasz, dowiem się przecie zkąd indąd.

— Przestrzegam panią, że gdyby się jéj najszczęśliwiéj udało — zawiodę jéj zajęcie mną. Ani ja, ani nazwisko moje ciekawe nie jest — zresztą pani je znasz.

— Ja je znam?

— Tak jest.

— Jakim sposobem?

— Przed kilkunastą laty — nieraz przeszło ono przez jéj usta, teraz musiało się zatrzéć w pamięci.

Podkomorzyna, któréj ciekawość zaostrzona była do najwyższego stopnia, podskakiwała niezna cznie na krzesełku, łamała głowę.— Julia poglądała z zajęciem na młodego człowieka, który całą rozmowę z panią podkomorzyną na wpół żartem prowadził.— Zostawując go u krzesła Julii, zamilkłszy, zamyślona jakby od niechcenia, podkomorzyna poszła w głąb sali. Tam w kąciku stał ubogi kuzynek w przerobionym fraku i kamizelce z siostrzynéj sukni pozostałości zrobionéj, przypatrując się tańcującym, do których nie śmiał się wmieszać, z powodu perkalowych rękawiczek.

— Kaziu! szepnęła mu na ucho.

— Co pani każe.

— Widzisz tego mężczyznę, co siedzi za Matyldą?—

— Widzę pani.

— Uważaj na niego, z oka go nie spuść, gdy będzie wychodził, każ Mikicie kozakowi, żeby wsiadł na konia i jechał za nim dokąd on pojedzie. Niech dotrze do miejsca, żeby mi umiał powiedziéć, gdzie mieszka.

— Dobrze pani.

— Pamiętajże, zrób jak ci mówiłam — a konie twoje każę wziąć na paszę do mojego stada.

Kuzynek, który na dwóch chłopkach siedząc, wypasu nie miał, i dawno o tę łaskę się dopraszał, uszczęśliwiony że jego chabety utyją, wytrzészczył oczy na nieznajomego.— Ten ze swego miejsca widział wszystko i uśmiechnął się tylko. W uśmiechu tym było coś bolesnego.—Po odejściu podkomorzynéj, znowu się z Julią rozmowa poczęła. — Julia wprawdzie tańcowała w mazurze, ale że ten składał się z trzydziestu par, nieprędko na nią koléj przyjść miała. Ten trzydziesto-parowy mazur urządzony był przez samego marszałka, któren chciał we wszystkiém zaćmić sąsiednie miasteczko, gdzie ledwie dwanaście par w sali pomieścić się mogło. Wprawdzie i tu na trzydzieści było bardzo ciasno, zabiegano co chwila w krzesła, ocierano się o ściany; ale par było trzydzieści! Rozmowa, któréj powtarzać nie będziemy, przerywana to tańcem, to mieszającemi się do niéj osobami obcemi, tak niepospolite zdradzała myśli i dobre wychowanie nieznajomego, że Julia co chwila bardziéj zaciekawioną się nim czuła.

— Jednak, mówiła w duchu rozpieszczona, chcieć czegoś jak ja chcę, będąc piękną, młodą, bogatą i nie głupią—chcieć żywo i nie módz dokazać — o! to bardzo upokarza. A chcę tak małéj rzeczy! tak małéj! wiedziéć tylko, kto on jest? Wezwana do koła w figurze Julia, powróciwszy na miejsce, nie znalazła już swojego nieznajomego i spojrzawszy po sali, nigdzie dopatrzéć go nie mogła. Nieukontentowana, podraźniona, poczęła się skarżyć na gorąco, na ból głowy i widocznie okazywała, że ją zabawa ta nudzi. Napróżno Marya prosiła i błagała, żeby choć udała wesołość, z którą tak naturalnie objawiała się przed chwilą; napróżno szeptała jéj, że tysiące oczów na nią patrzy, nic nie pomogło.

Podkomorzyna także nie widząc tajemniczego swego gościa, poszła się upewnić, czy Kazio zrobił co mu poleciła, a Kazio zaręczył, że nieznajomy tylko co był wyszedł i Mikita już miał rozkaz nie spuszczać go z oczów.

Bal przeciągnął się dosyć długo, ale z powodu bólu głowy Julii, podkomorzyna zmuszona go była opuścić nawet przed kolacyą. Napróżno marszałek zaklinał łamiąc ręce, i najpocieszniéj w świecie swoje ananasy, pomarańcze, lody i cukry dla znęcenia wywoływał—odjechały.

Z wielkiém podziwieniem ciekawéj matrony, na stancyi w miasteczku, gdzie rozbiérać się miały przed odjazdem panie, znalazł się zaspany Mikita.

— A toż co? wróciłeś? — spytała podkomorzyna—wszakże kazałam ci....

— I pojechałem — odparł kozak.

— A cóżeś się dowiedział?

— Nic—rzekł tymże głosem Mikita.

— Gdzież się ten pan podział?

— A diabli go wiedzą.

— Jakże?

— A tak—i tak. Naprzód piechotą poszedł na miasto, ja za nim, on do karczmy, ja w ślad. Siedzi, siedzi, i ja siedzę, czatuję, czekam. Aż kiedy ja patrzę, a on zemknął.

— Jakto?

— Kaciż wiedzieli, że konno miał jechać, a ja bryczki lub powozu czekałem.

Na tém spełzły usiłowania podkomorzynéj, która jednak jak zaraz zobaczymy, nie dała za wygranę.

III.

Na saméj prawie granicy majątku starościnéj, w lasach dębowych, od których miejsce to nazwaném zostało, ciągnęły się wzgórza zaroślami i zrzadka staremi krzywemi dębami pokryte. Pomiędzy niemi był jar długi, środkiem którego wiosną spływały wezbrane z okolicznych wyniosłości wody. W lecie

strumień prawie wysychał i porwane tylko brzegi gdzie niegdzie ściśniętego wąwozu, świadczyły o gwałtowności, z jaką tędy pędziły wody ku rzece, co je w sobie chłonęła. Jar ten, kawał lasu, łąki i pola otaczające, stanowiły zupełnie osobną posiadłość, bez wsi, zwaną w okolicy Jarowiną.

Na Wołyniu rzadkie są podobne nieosiedlone posiadłości, i ta też winna była szczególnym okolicznościom powstanie swoje.

Dawniéj majętność obszerna przytykająca z téj strony do Dąbrowy, a rozciągająca się na parę mil w głąb, z kilką wsi i folwarków, należała do rodziny od kilku wieków tu osiadłéj Darskich. Byli to bogaci ludzie, ale z ojca w syna wszyscy domatorowie: żaden z nich dobrowolnie nie wyszedł na świat szukać losu, to jest większéj majętności i znaczenia. Powołani do służby spieszyli w potrzebie kraju, ale dopełniwszy obowiązku wracali w cichy kąt rodzinny. Darscy spokrewnieni byli z wielą domami znakomitemi dawniéj, z czego nie szukając chluby, a majętnością swą wcale nie szafując na zbytki; pozostali prawie pogardzeni, a przynajmniéj zaniedbani od tych co ich otaczali. Wszyscy oni zapaleni byli myśliwcy, dobrzy gospodarze, ojcowie swoich poddanych; ale pomimo zamożności, kochali się w prostém życiu, skromnéj sukni i żyli bardzo oszczędnie. Dwór ich odwieczny, dosyć obszerny, wśród rozłożystych drzew stojący, rzadko był nawiedzany. Kobiéty żyły w nim i dożywały lat swych, nie wyjeżdżając daléj nad nabożeństwo do parafialnego kościoła, gdzie nawet mało kto je dojrzał, bo się mieszały w tłumie i nie cisnęły do pierwszych ławek. Mężczyzni ledwie wśród zagrodowéj szlachty rozpoznać się dali szlachetną postawą, pięknym wzrostem, męzką twarzą i uszanowaniem jakie wzbudzali. Oddawna sąsiedztwo pojąć nie mogąc rodzaju życia Darskich, wyszukiwało powodów najdziwniejszych, żeby sobie wytłumaczyć odosobnienie i samotność w jakiéj żyli.

— To coś nizkiego pochodzenia być musi —mówili jedni. — Chamy albo mechesy—powtarzali drudzy.—Kto wié co to za jedni? wszyscy śniadzi, mogą być i cygańskiego rodu. Wszakże nie darmo tak konie lubią.—I tysiączne tym podobne wymysły.

Tymczasem nie troszcząc się wcale o to, co ludzie o nich powiedzą, Darscy żyli po swojemu. Włościanie osiadli w ich wioskach, drobna szlachta, któréj w każdéj potrzebie pomagali po pańsku, jedni błogosławili ich i kochali. I gdy sąsiedztwo zmieniało powoli obyczaje, przestrajało się, francuziało, traciło majętności i spadlało trzymając ostatka fortunek zrujnowanych, Darscy żyli po swojemu, po staremu, w ciszy, w ustroniu, w zapomnieniu.

Ostatni z Darskich za panowania Stanisława Augusta, odegrawszy niepospolitą rolę w nieszczęśliwych wypadkach ówczesnych, poświęciwszy wszystko prawie co miał, zmuszony po stracie żony sprzedać majętności odłużone, z powodu ofiar jakie czynił dla kraju, pozostał na jednéj tylko wiosce, a wkrótce i z téj jednéj, ostatniéj, nowe poświęcenia go spędziły. Sprzedając najpiękniejszą ze swoich wiosek, która tak rozległe miała grunta, że nowy nabywca ludźmi osiadłemi obrobić ich nie był w stanie, stary Darski wyłączył dla siebie posiadłość, którą później nazwano Jarowiną. Było to kilkanaście włók ziemi na pograniczu Dąbrowy rozciągających się, złożonych z ornych gruntów, trochy lasu, sianożęci i opisanego jaru. Niewielki kapitalik umieszczony w pewnych rękach i kawał téj ziemi składał ostatek już, wielkiéj niegdyś i pięknéj fortuny, straconéj bez żalu, poświęconéj bez westchnienia. Starzec, któremu syn jedyny pozostał, zbudował sobie na wyniosłym brzegu jaru swego niewielki szlachecki dworek, w którym zalędwie komu znany, ledwie postrzeżony w okolicy, zamieszkał. Kilka odwiecznych dębów i sosen otaczały domek ubogi ale schludny, objęty dokoła niewielkiemi budowlami gospodarskiemi. Stodoła, obora, stajenka, gołębnik, loch, studnia z żurawiem, ogródek owocowy, opasywały dworek podniesiony nieco wyżéj stojący. Słomą poszyty, z ganeczkiem na dwóch dębowych słupkach, z ławkami w ganku; dworek starego Darskiego, jak on już się był postarzał, nie zapadł jednak w ziemię i nie skrzywił się jeszcze, trzymał się sztywnie i prosto. Kilka gniazd bocianich na sąsiednich drzewach i dachach ożywiały tę pustynię, w któréj czterej tylko ludzie zamieszkiwali. Stary Darski, wierny jego dawniéj pisarz, dziś jedyny sługa Kasper, stara gospodyni i nie wielki wyrostek, co koni pilnował. Pastusi sąsiedniéj wioski, przywiązani do dawnego pana ludzie, zabierali mu jego bydełko i trochę prostych owiec na paszę.

Od dworku posunionego na sam brzeg wyniosły jaru, drożyna wykopana na urwisku, z poręczem, wiodła w głąb do studeńki i strumyka. Na przeciwnym brzegu, do jarowiny jeszcze należącym, wprost dworu, nad przechodzącą tędy drogą, stał piękny krzyż drewniany, osadzony krzewami i świerkami. Pod nim leżał prosty kamień, na którym stary Darski lubił siadywać, mówiąc wieczorny różaniec. Myliłby się ktoby sądził, że zubożały i przywalony latami odludek, żałował dawnego bogactwa lub uskarżał się na ludzi. Skromne i proste życie, jakie wiódł za młodu, tak było podobne do dzisiejszego, że Darski mógł tylko stęknąć na to chyba, iż mniéj dobrego czynić był w stanie. Nadewszystko dokuczliwém było, że polować i nie bardzo gdzie miał, i nie zdużał. Nudził się starowina, gdy się nie modlił, lub z Kasprem i z dawnemi swemi poddanemi o dawnych nie gawędał czasach. Pomimo to nie zasępiła się twarz jego smutna, ale pogodna spokojem wewnętrznym, piękną rezygnacyą i jakąś chrześciańską odwagą, a dumą szlachetnéj duszy, co się czuje na obraz Boga stworzoną. Darski był słusznym mężczyzną, atletycznéj budowy, ani wychudłym, ani otyłym; pracowite ale poczciwe życie, ani mu rozlać się i roztyć, ani wyschnąć nie dało. Trzymał się pomimo podeszłego wieku prosto, sił nie tracił, i gdyby nie włos srebrzysty na wysoko podgolonéj czuprynie, gdyby nie zmarszczki na twarzy, nie dałbyś mu zdaleka połowy lat jego. Siwe oczy tylko wpadły głębiéj, a brew niegdyś czarna i gęsta, teraz siwa i przerosła, zwieszała się długiemi kosmykami włosów aż na powiekę. To mu nadawało wyraz ponury, choć usta z pod potężnego wąsa łagodny uśmiech rozjaśniał. Nie mogąc polować z chartami, ani wiele psów trzymać, chodził jeszcze z wyżłem, i mimo lat siedmdziesięciu strzelał celnie, a nogi tak mu służyły, że rzadko zdrowy chłop mógł mu dorównać. Na konia czasami już tylko wsiadał, ale pieścił konie i lubił jeszcze, a choć niewiele ich miał, to pięknych. Były to ostatki niegdyś sławnego polsko-wschodniego stada.

W domku starca czysto było, ale ubogo. Niektóre tylko szczątki bogactw przodków zeszły pod słomianą strzechę. Dworek składał się z izby dużéj, sypialnego pokoju, naprzeciw czeladnéj, spiżarni i przybudówki w tyle, która mieściła w sobie skład rzeczy nie mogących się rozstawić w ciasnym domku. Były tam kufry papierów, stroje dawne, sprzęty

pamiątką oznaczone, dużo ksiąg starych, rzędy na konie bogate, siodła wspaniałe i tym podobne pozostałości. W wielkiéj izbie domku, która się niczém nie odznaczała od pospolitych folwarcznych izb, bo i belek nie pokrywał sufit, i podłoga była z tarcic, i piec z białych kafel, i stoły a stołki z czystego drzewa prostéj roboty;—kilka familijnych portretów dziwiły na ścianach, a piękne szkła i porcelana w staroświeckiéj rzezanéj i sadzonéj szafie u drzwi stojącéj, zwracały oczy bardziéj jeszcze.

Pomiędzy portretami wisiały trofea myśliwskie i wojenne, rozpięte na lamparcich i końskich skórach. Świéciły w nich stare łuki, krasne sajdaki tatarskie, buzdygany, krzywe szable, napierśniki, noże w sadzonych pochwach i wspaniałe złocone hełmy. Były to pamiątki, z któremi stary Darski, w ubóstwie nawet, co mu zresztą wcale nie ciężyło, rozstać się nie chciał; trochę dumny był niemi, więcéj je kochał jako szczątek przeszłości niepowrotnéj. Na kominie trzy misterne i kosztowne kielichy srebrne rozstawione przy zegarze, zastanawiały wielkością bajeczną. Pojąć było trudno jak ludzie z nich pić mogli. Jeden paw' najmniejszy prawie ze wszystkich, trzymał dobre pół garnca. Ława szeroka dębowa osłoniona dywanikiem tureckim, przed nią stół zawieszony wzorowaną makatą. Stoły po lewéj stronie u drzwi sypialnego pokoju. Tu u jednego okna stolik biały lakierowany z szkatułką, daléj wązkie i twardą skórą łosią pokryte łoże; nad niém broń, krzyż i gromnica. Po kątach kilka kufrów gdańskich, strzelby, wędki, siatki i berło dla ptaka, którego od dawna nie mając, zawsze sobie unosić jeszcze obiecywał pan Darski.

Bogactwa te, któreśmy opisali, tylko jako pamiątki cenione i dla tego przed oczyma zawsze będące, mogły fałszywe obcemu dać wyobrażenie o starcu. Wśród nich odziany w szarą kapotę, jadł co jedli słudzy jego, a na posłanie nie potrzebował innego łożka nad tapczan kilką skórami przysłany i sukienny wałek w głowy. Nie myśl téż pochwalenia się ostatkiem dostatku, wywiodła te sprzęty na ściany dworku nikt do niego nie zaglądał, chyba wieśniak ze wsi sąsiednich staremu panu, bo go dotąd tak zwali, przynoszący kurę lub jaj kilka.

Kilka pokoleń panów i wieśniaków przeżywszy w świętéj zgodzie i patryarchalnym z sobą stosunku, nie dozwoliły ostatniemu z Darskich, ani włościanom, co jeszcze rządy jego pamiętali, zerwać od razu węzłów, które wdzięczność i przywiązanie wzajemnie ścisnęły. Pomimo sprzedaży majątku ludzie wiosek Darskiego zwali go zawsze: „starym panem,” szli do niego na radę w każdéj potrzebie, w święto przynosili ubogie mu podarki, przyprowadzali dzieci, żeby je błogosławił. A że dawny dziedzic znał wszystkie swoje dzieci po imieniu, po twarzy, wiedział ich stosunki, potrzeby, może téż iż pomagał im jeszcze chętnie, nie było wesela bez jego porady, nie było przesiedlenia, na któreby się nie zgodził, a często gdy stodołę z miejsca na miejsce przyszło przenosić, starzec i o tém musiał wiedzieć. Szacunek, wdzięczność, jakiemi go otaczali dawni poddani, świadczyły najdowodniéj, że nie są to wcale serca niewdzięczne i niepamiętne, jak się wielu zdaje. Ubogi pamięć ma aż nadto dobrą; prawda, że pomnąc dobre, o złém téż zapomnieć nie umié.

Zdziwić to może, iż tracąc majątek, starzec ani dla siebie, ani dla syna, którego kochał za siebie i matkę umarłą, nie pożałował dostatków. Tak było przecież, a gdy Kasper i stary Semen, wielki przyjaciel Darskiego, dawniéj leśniczy dziś dziad oślepły, dziwili się temu nie raz, on im ze swoją zwykłą odpowiadał spokojnością:

— Czy to w tém szczęście? Będzie pracował, to będzie miał kawałek chleba. Ot lepiéj może, boby go majątek na próżniaka wykierował. Albo to wiele człowiekowi trzeba, gdyby miał rozum? Byle dach, byle strawa, a koń dobry, bo to grunt, a strzelba, i jeszcze zdrowie w dodatku, ot i po wszystkiém.

— A jak się ożeni i da Bóg wnuki.

— Toć i wnukom powiem toż samo. — I stary brał różaniec w ręce, szedł obchodzić gospodarkę, modlił się i dumał.

Długie tak lata ubiegły w tym kątku, o którego istnieniu mało kto wiedział w okolicy. Nawet podkomorzyna, któréj nieboszczyk mąż kupił wioskę ostatnią od Darskiego, zapomniała zupełnie o starcu, którego Jarowina odległą była od dworu i położoną w drugim końcu majętności. Nigdy téż żadna szkoda, żaden spór sąsiedzki nie przypomniał jéj Darskiego. Sąsiedzi, którzy widywali czasem siwą jego kapotę, i siwy wąs, w kościele, gdzie przez chrześciańską pokorę, stawał w kruchcie z żebrakami, ledwie niektórzy wiedzieli jak się nazywał, w okolicy nazwisko prawie było nieznane.

Syna oddał był starzec naprzód do szkół publicznych, bo mawiał:—Trzeba żeby chłopiec był tam, gdzie są wszyscy, i nie sądził się potém w czémś lepszym od innych, dla tego że go rodzice możniejsi inaczéj wychowali. Wielu trutniów, co mieli prywatnych nauczycieli lub wysłani byli za granicę, pozawracali sobie tém głowy i myślą, że są czémś lepszém. Niech syn mój raczéj mniéj umié, a wyjdzie na uczciwego i pracowitego człowieka. Zresztą w szkołach najgorszych, kto chce i może się uczyć, nauczyć się potrafi.

Ze szkół Jan Darski poszedł do wojska, a gdy na rewii przypadkiem w rękę lewą upadkiem z konia silnie uderzony, służbę porzucić musiał; ojciec niepozwoliwszy mu wracać do domu, wysłał za granicę, potém chciał znów oddać do wojska, gdy bezdzietna siostra umiérając, bardzo znaczny, bo zapisami dwóch mężów pomnożony majątek w Litwie, przekazała Janowi. Jan miał na czém gospodarzyć i usilnie chciał do siebie pociągnąć ojca, ale starzec oparł się temu stanowczo.

— Jak będziesz mógł, bywaj u mnie, a chce ci się, to i posiedź, rad będę z duszy, małośmy z sobą żyli, kocham cię jak jedynaka. Ale z tąd wynieść się, bodaj dla ciebie, nie mogę. Chce się umrzéć w swoim kącie, gdzie się żyło, gdzie się pracowało. Nie! nie! nie wyniosę się, umarłbym z tęsknoty; kości moje spoczną obok prochu dziadów, ciężko by było tęsknić na starość.—I całując w głowę syna, starzec tak się opiérał, tak tłumaczył, że Jan nie śmiał nalegać. Postanowił tylko dwa lub trzy razy do roku odwiédzać ojca, resztę czasu pędząc w swoim majątku.

Okolica jak nie wiedziała o Darskich, tak i o synie i o losie jego, wyobrażenia nie miała. Jan przyjeżdżał do ojca, bawił z nim, polował i nie ukazując się w sąsiedztwie odjeżdżał; żeby zaś starcowi nie robić ludźmi i końmi wrzawy i zachodu w domu, zostawiał je w blizkiém miasteczku.

Piérwszy raz teraz dłużéj nieco zabawiwszy w Jarowinie, a mając z sobą ulubionego wierzchowca, wymknął się parę razy na przejażdżkę i polowanie; potém w nadziei może zobaczenia Julii do miasteczka na ów bal.

Dotąd w dwudziestym szóstym roku życia, prze-

wędrowawszy już nie mało świata, bo w ośmnastym wstąpił już do wojska. Jan, jak niewielu młodych, całkiem był prawie obojętnym dla kobiét. Czynne życie nie dozwalające marzyć i latać myślami, pragnienie nauki i udoskonalenia, zabezpieczyły go od zajęcia uczuciem, któreby oderwało go od celu. Ale serce to nie było zimne, biło już oczekiwaniem i nadzieją.—Pospolite miłostki rodzące się szybko i mijające chyżo, nie były dla Jana. Czuł, że kochać musi, i czuł, że kochać będzie jedną wielką i całego życia miłością. W sercu miał jakby przeczucie jéj, ale malujące mu to uczucie czémś poważném, uroczystém i stanowczém. Żadna dotąd kobiéta nie zrobiła na nim tego wrażenia, ktore on uważał za zwiastowanie miłości swéj; przed żadną nie zadrżał do głębi duszy, nie przestraszył się przyszłości, nie uczuł głosu wewnętrznego co mówi: — Ta lub żadna. A głosu tego właśnie Jan czekał cierpliwie — i doczekał się nareszcie.

W piérwszém wejrzeniu Julii było objawienie magnetyczne przyszłości, która ich połączyć musiała lub nieszczęśliwémi uczynić. Dziwnym trafem, gdy ujrzał Maryę i Julię, choć ostatnia większe na nim zrobiła wrażenie, piérwsza także utkwiła mu w pamięci i sercu.

W drugiém spotkaniu potwierdziło się piérwsze: oczy Julii i oczy Maryi razem uniósł z sobą jeszcze, pędząc zamyślony do domu.

— Miałżebym kochać obie? — pytał siebie— czy żadnéj?—I chciał obie zapomnieć a nie mógł.

Z kolei czarowne wejrzenie Julii, smutne oczy Maryi, przesuwały się przed nim we snach i na jawie, piérwsze wstrząsając sercem, drugie wzbudzając nieopisane litości i zajęcia uczucie; myślał o nich razem, jedna przywodziła mu na pamięć drugą, i na wspomnienie obu zarówno serce mu biło.

Bal do reszty go rozmarzył: znalazł je znowu razem obie, obie zarówno piękne, zarówno go ku sobie magnetyczną jakąś pociągające siłą. Julia czarowała go wejrzeniem, któremu nic oprzéć się nie mogło; zachwycała go wyrazy, których słuchał jak pięknéj pieśni anielskim nuconéj głosem. Marya jak zagadka niedocieczona, jak coś dawno znanego, nie wiedzieć gdzie i kiedy, jak siostra z niebios wyciągać się zdawała ręce ku niemu. Myślał, walczył, usiłował sam siebie zrozumieć, nie mógł; nareszcie powiedział sobie: — Dwie! to być nie może! Julię kocham. Tak! Julię!

I wyrzekłszy się Maryi, czuł taki żal, taką rozpacz po niéj, że wracał jeszcze, mówiąc znowu—kocham Maryę. — Ale wejrzenie Julii odrywało go od smutnéj kochanki.

Marzył tak długo, za długo; czas było wracać do Litwy, gdzie go dość pilne powoływały zajęcia, ojciec nawet do odjazdu przynaglał, widząc jego konieczność; a on wyjeżdżać nie mógł, nie mógł się wyrzec tych kobiét, z których jedna miała, musiała być jego, choć sam nie wiedział jeszcze która, a serce rozdarte, to dla jednéj, to dla drugiéj biło z kolei.

Po balu cały dzień pozostał w domu, smutny nadzwyczaj, zamyślony, nie pewien co pocznie. Stary Darski wyprawiał go na polowanie.

— To cię rozerwie mój Janie—mówił—dla mężczyzny nic szkodliwszego jak siedzieć w izbie; jemu potrzeba powietrza, ruchu koniecznie. Pod piecem babieje; pocznie się zamyślać, stękać, chorować i po nim. Potém choć weź nim w piecu podpal, na nic się nie zdał.

Ale Jan nie mógł wywlec się z domu, czuł się bezsilnym. Stary dumał i wydumał nareszcie, że czas było Janowi się ożenić, począł tedy w tym przedmiocie gawędę; ale syn odpowiedział, że nie ma wcale ochoty do ożenienia.

— Jakto, żebyś asan nie miał do tego ochoty, co Pan Bóg przykazał?—rzekł stary powoli. — Toć to i czas, choćeś nie przestarzały jeszcze; ale człek bez towarzysza, to strzelba bez kolby. Jużciż mi taki na starsze lata wnuka potrzeba, umiérać tak nie chcę.

— O mój drogi ojcze—rzekł Jan całując go w rękę—pożyjesz jeszcze i da Bóg doczekasz.

— Ale coś bo waść mi dziś nie w swoim sosie, powiédz no co to jest?

— Nic mi ojcze, tak coś niezdrowo.

— A na niezdrowie, to znowu nie ma jak koń i świéże powietrze. To jak ręką ujmuje chorobę— rzecz doświadczona.

Jan ulęgając staremu, kazał osiodłać siwosza i zdawszy się na jego wolę, wyjechał z Jarowiny ku Dąbrowie. Koń, który kilka razy w tę stronę chodził, po zwierzęcemu puścił się znajomszą już sobie ścieżką. Tego mu Jan nie bronił wcale, puścił cugle—ruszaj siwy!

W pół godziny stanął w lesie, z którego widać było w oddaleniu dwór, ogród i topolową długą ulicę. Ale w Dąbrowie nikogo; zielone stare dęby szumiały tylko i Jan oprzéć się nie mógł pokusie, zsiadł z siwego, aby pochodzić po murawie.

Dwa krzywe najstarsze drzewa, u których najeżonych pni było siedzenie z darni, wstrzymały chwilę Jana; zwiędły bukiet kwiatków leżał na ławeczce. Podjął go i schował, piérwszy raz w życiu przywiązując wartość do rzeczy, któréj pochodzenia mógł się tylko sercem domyślać. Coś mu mówiło, że jedna z dwóch pięknych dziewcząt rzuciła tu te kwiaty jeszcze wczora, a może, któż wié? nie bez myśli.

Trzymając siwego na licach, usiadł na darniowéj kanapce, schylił głowę i nie patrząc przed siebie zadumał się głęboko. Życie dotąd tak zajęte, tak pełne, zdawało mu się nudne, czcze i bez celu.

Piérwszy raz postrzegł, że sam jeden był na świecie, piérwszy raz uczuł, że potrzebuje się do kogoś przywiązać raz, ale na wieki. I obie, jasnowłosa i czarnooka prześliznęły się przed jego oczyma, uśmiechając mu się różowemi usty. Obie! zawsze obie? Nie wiedział i ja nie wiem jak długo trwało to dumanie, gdy głos bardzo mu już znajomy, przestraszył młodego chłopca i siwosza paść się poczynającego. Koń targnął się, szarpnął silnie, wyrwał i uciekł, Jan podniósł głowę, przed nim stały Julia i Marya.

— A! pan nasze miejsce zająłeś! — zawołała piérwsza, śmiejąc się prawie wesoło, głosem jednak, w którym przymus znać było—my pańskie. — Teraz myśmy go przestraszyły.

— Mnie, nie — odpowiedział Jan — ale siwego to prawda, poleciał jak szalony.

— Byleby mu się co nie stało!

— O! ręczę że nie, pobieży wprost do stajni.

— A pan pójdziesz piechotą?

— A ja, pójdę piechotą, nie ma w tém nic nadzwyczajnego, jestem myśliwy.

— Widać, że pan jak my polubiłeś to miejsce — odezwała się Julia, pomimo cichych prośb Maryi, która dalszą odradzała rozmowę.

— Dziś jestem tu zupełnie przypadkiem; koń, któremu puściłem cugle, sam mnie tu zaniósł.

— Mamy więc podziękować koniowi.

— Nie, ale ja za mego konia powinienem przeprosić.

— Przeprosić, za co?

— Za natręctwo, za włóczęgę.

— Któż może panu zabronić chodzić i przesiadywać gdzie zechcesz?

— O! najpiérwszy pan Łada—rzekł młody człowiek, uśmiechając się.

— Jakto? pan go znasz? wielkie robiąc oczy spytała Julia.

— Ja znam wszystkich.

— Tak — a pana nikt.

— Zdaje mi się, nawet pani podkomorzyna.

— W istocie zręczneś się pan wymknął kozakowi, którego za nim posłano.

— Nic nad to nie mogło być łatwiejszego. Widziałem jak dawano rozkazy panu Kazimiérzowi, jak p. Kazimiérz oddawał je Mikicie, a jużciż zwyciężyć kozaka, nie wielka sztuka.

— Dla czegoż to okrywanie się tajemnicą.

— Powtarzam pani, ja wiele na tém zyskuję.— Zagadki zajmują.

— Ale mi się zdaje, że czasem i straszyć mogą.

— Doprawdy? mógłżebym kogo sobą przestraszyć?

— Niewiem, ale mi się zdaje, że kiedy ktoś znając tych co go otaczają, sam przywdziewa na siebie maskę — jest w tém coś jakby walka nierówna.

— Jestże walka? któżby chciał mną się tak dalece zajmować.

Julia mocno się zarumieniła; Marya zmieszała się za nią i za siebie.

— Wracajmy, rzekła po cichu.

— O! nie! nie, nie uciekajcie panie, żywo przerwał Jan, nie będę przerywał przechadzki, żem się tu dziś znalazł znowu—odchodzę— i pod dęby nie powrócę.

— Chwilkę tylko jeszcze— zawołała pospiesznie Julia—nie weźmiesz mi pan za złe tego, co większa część jego rówienników potępiłaby we mnie?

— Nie rozumiem czybym miał siłę potępić co w pani.

— A! dziękuję za grzeczność! — Więc nie będziesz pan mi miał za złe, że naszą dziwaczną znajomość lepszém poznaniem—przedłużyćbym chciała.

— Pani! wezmę to tylko — za grzeczność także.

— Lub za ciekawość tylko! dodała Julia, nieprawdaż? — ale nic więcéj.

— Cóż mi pani rozkaże?

— Będę go tylko prosić.

— Przysięgam posłuszeństwo.

— O! nie cierpię przysięgi.

— A więc — przyrzekam.

— Nie lubię przyrzeczeń.

— Cóż mam zrobić?

— Nic nie przysięgać, nic nie przyrzekać, ale być u mojéj babki i dać się nam poznać—a to—koniecznie.

Jan widział się w miłém, ale trudném położeniu. O majątku jego, który wszystko ozłaca, nikt nie wiedział, ojca ledwie znano z ubóstwa, w które popadł (jak mówili sąsiedzi) przez własne głupstwo. Z rodziny jego oddawna nikt w sąsiedztwie nie miał stosunków. — Któżby go wprowadził? ktoby mógł moralnie ręczyć za niego?

— Rozkaz pani nadto mi pochlebia, żebym mógł pomyśleć nawet sprzeciwić mu się. Muszę więc obszernie i zrywając maskę z siebie, wytłumaczyć się pani. Ale zawczasu boleję, bo wkrótce stracę urok tajemniczości, a przestawszy być zagadką, nie będę nawet pewnie pożądanym gościem.

Julia czekała niecierpliwie końca, nawet Marya czarne swe łzawe oczy z ciekawością wlepiła w młodzieńca, który z kolei obie dziewczęta obejmując ognistym wzrokiem, coraz smutniejszą przybierał winowajcy postawę.

— Chciałaś pani — jestem posłuszny, mówił po przestanku. Ojciec mój, ledwie tu komu w okolicy znany, dawniéj majętny obywatel, dziś ubogi kawałka pola posiadacz, mieszka na granicy Dąbrowéj i dożywa pięknych, spokojnych dni starości — zowie się Darski!

— Darski! zawołała Julia—a! nazwisko mi znajome— ojca pańskiego nikt nie zna, ale słyszeliśmy o nim. Widać, żeś się pan nie wychował w tych stronach.

— Mało tu byłem, dla tego nie tylko nikt mnie tu nie zna, ale że żyję, nikt nie wie prócz poczciwych dawnych naszych włościan. Dawniéj młodym bardzo, służyłem wojskowo, potém podróżowałem, teraz — mieszkam daleko ztąd w Litwie i jestem tu tylko parę razy w rok, żeby starego ojca, który się do mnie przenieść nie chce, zobaczyć.

Gdy wspomniał o Litwie, Marya pobladła, zmieszała się, zadrżała i zmieniła się tak strasznie, że Jan poskoczył ku niéj, sądząc iż mdleje.

— To nic, to nic — cicho szepnęła — trochę mi się zakręciło w głowie.

Julia miała z sobą flakonik, któren otrzeźwił nieco nagle zmieszaną i osłabłą Maryę.

— Teraz wiész pani wszystko, rzekł Jan—w domu starościnéj niemam z kim być, a sam nie mogę.

— Ja pana prezentować będę.

— Prawdziwie—nie wiem; — lecz jeżli pani starościna zezwoli na to, spełnię jéj rozkaz.

— Dam panu znać do Jarowiny.

To mówiąc Julia, poczęła się oddalać zamyślona, a Jan spiesznie pożegnawszy je, szybko puścił się w las, sam jeden z myślami.

Dla czego nigdy na nas większego nie robi wrażenia widok przyrodzenia, jak gdyśmy w szczęśliwych, najszczęśliwszych początkach miłości?—Najszczęśliwszych, tak, bo choć człowiek łamie się, by posunął dalej, ileż to razy w końcu żałuje początku?—ile razy początek tylko coś warty—a reszta!!— Naówczas wszystko dla niego przywdziewa suknie nowe, bo on sam oblókł się nowém uczuciem.

Między nim a światem jest jakaś nić złocista, co łączy ich, czuje w uderzeniu serca wszystkie tętna całego żywota ziemi; — barwy, zapachy, blaski, szmery lasów, rzek, stworzeń, niebios, kwiatów rozumie; rzekłbyś, że zstąpił nań duch co go nauczył języka powszechnego; każdą boleścią boleje, każdą radością się wstrząsa, każdą myśl rozumie.

Tak gdy ranny swą krwawą odartą ze skóry bliznę odkryje, chłód, ciepło, każde drgnienie powietrza czuje nią silniéj niż zahartowaną skórą. Byłażby po staremu miłość—raną tylko?— Nie! nie—miłość jest wielkim węzłem, co wszystko łączy na świecie, dotknąwszy się go, bierzemy w siebie ducha świata całego i jak płyn elektryczny, tajemnicza siła jednoczy nas z całością.—Skoro się skupim w siebie, odetniem od ludzi, siebie czujemy, siebie pojmujemy tylko— reszta staje się nam niezrozumiałą.

Miłość! wielki i święty wyraz, lecz ubogi, lecz słaby na odmalowanie tego co znaczy. Miłość to świat — miłość to Bóg— miłość to życie, to wszystko. Co jest — jest nią; a z wysoka nic nie widać prócz niéj.—Natura żywa jest miłością samą, społeczeństwo klei to uczucie, jak klei i spaja kamienie z atomów, chmury z niewidocznych wyziewów.

Wszystko co święte, co dobre, co prawdziwe, co

piękne, jest miłością. A dwojga kochanków namiętne uczucie to tylko odłamek, to tylko gałązka ogromnego drzewa, pod którego cieniem drzemią światy, i słońca, i gwiazdy, i błękity eteru.

Jedna miłość jest złą, jest fałszem, jest śmiercią moralną — miłość samego siebie. Wszystko co złe go ma świat, co nazywa się złém, z samolubstwa pochodzi Ono rozłącza, rozbija, morzy, unicestwia. Przez nie giną społeczeństwa i gasną światy w niebiosach. Niech chwilę ziemia zatrzyma się w miłosnym biegu koło słońca—umarła—niech chwilę człowiek zawrze się sam w sobie—a nie żyje. Bo życie jest miłością — a miłość jest ofiarą; — lecz ofiarą roskoszną, dobrowolną — poświęceniem bez wejrzenia po za siebie. I niéma miłości bez ofiary.— Wszystkie miłości nią żyją. Wejrzyjcie na niebiosa— co tam światów wiecznie krążących około ogniska, które mu swój byt poświęciły; wejrzyjcie na społeczeństwa — jeźli na nich zgasł duch ofiary, duch miłości—ruiną są, popiołem, rumowiskiem.—Wszystkie ludy znamieniem wielkich przeznaczeń napiętnowane przez Boga, miały w sobie ducha miłości i ofiary; a to co czyni, że dziś ludzkość cała tęskni, wiję się w boleściach, rzuca i czuje upadłą— to właśnie brak miłości, brak tego ducha poświęcenia, zasklepienie się w samolubstwie, sprowadzenie wszystkiego do statystycznego rachunku, który nie wystarcza na życie.

Tak myślał idąc Jan, i rozogniony własném dumaniem, stanął już szarym wieczorem u krzyża, naprzeciw domku ojcowskiego.

Pod krzyżem modlił się starzec siedząc, z wypogodzoném obliczem chrześcianina.

— Co ci się stało Janie, rzekł gładząc wąsa—siwy powrócił bez ciebie. Wiedziałem że cię z siodła wysadzić nie mógł, boćby to już do licha wstyd było; musiałeś zsiąść i nieuważnie go puścić.

— Coś nakształt tego, odpowiedział całując rękę starca.

— I zyskałeś, że ci śliczną kulbakę podruzgotał bestya w kawałki, musiał się gdzieś tarzać.—Dobrze że się nie okaleczył, alem go sam opatrzył, nic mu się nie stało. Ale gdzieżeś był?

Jan, który tajemnic mieć nie chciał, opowiedział staremu swoje piérwsze, drugie i trzecie na balu i dzisiejsze czwarte spotkanie z Julią i Maryą, nie tając wcale, że jedna z nich mocno go zajęła.

Darski potrząsał głową i brwi zachmurzył.

— To coś szparko mości panie— rzekł wysłuchawszy, a w dodatku i na nic ci się nie zdało. Boż to pany, a my wcale nie — oni dumni jakby ich rodziła Batorówna; z tego nic być nie może, tylko się daremnie zakrwawisz w sercu. Ot lepiéjbyś sobie ubogą jaką znalazł szlachcianeczkę, a piękną, a skromną, a poczciwą, a pracowitą; pobłogosławiłbym ci z duszy.

— Przecież jeźli im o to chodzić może, jestem szlachcic.

— Tak, bo spodziewam się, że i w duszy szlachectwo nosisz jak wszyscy Darscy, bez czego kiep szlachcic — przerwał stary.

— A do tego jestem ci bogaty — dodał Jan.

— Bogactwo, dziecko moje, rzekł ojciec, dziś jest, jutro go niéma. Z niém jak z smaczną potrawą obchodzić się potrzeba; lepiéj jéj nie kosztować, żeby sobie nałogu nie zrobić; a mając nawet bogactwo, niech ci serce do niego nie przylega. — Patrz jak dziś mnie mało kosztuje, żem zubożał! Żal mi moich poczciwych ludzi, nic więcéj, i też samę kaszę i krupnik jak dawniéj zajadam, bom się do pulpetów nie nazwyczaił, żeby po nich stękać.

— Ani ja mój ojcze - wiesz jak mi mało potrzeba.

— I dla tego ci właśnie ani bogatéj, ani wysoko-urodzonéj żonki nie życzę.—Wiesz co to u nas dobre wychowanie, toć to tylko wypieszczenie i popsucie. Przy takiéj żonie i ty się popsujesz, zmiękniesz, zbabiejesz. A mężczyznie zbabieć to już ostatnia rzecz Koło téj lalki będziesz musiał skakać, dmuchać, chuchać, na paluszkach chodzić i może w ostatku zostać zasłonką od gacha. Nie, nie—moje dziecko, nie tego nam potrzeba dla nas obu.— Wolałbym z lichem prostą poczciwą dziewoję. Przy téjbyś przynajmniéj nie zrobił się piecuchem.

— Ale mój drogi ojcze — czyż już wszystko złe w tém wychowaniu, w tym świecie, ktorego ty nie lubisz?

— Nigdzie niéma ludzi, coby całkowicie źli byli, moje dziecko, jest i tam zapewne wiele dobrego, ale więcéj zła — zresztą, daruj mi, jam już stary, nie pokocham na nowo, czego kochać nie przywykłem. — Zobaczycie jeźli dożyjecie! świat musi się odmienić. To co dziś u was cywilizacyą i dobrą edukacyą i wyborném towarzystwem się nazywa, całkiem inne będzie. Wasze pierzyny, wasze cacka drogie, co wam po trochu serce kradną, wasze nałogi, które i czas biorą i niewolnikami czynią, wasza miękkość pieszczona, czułość w fraszkach, a obojętność w rzeczach prawdziwie wielkich — wszystko to zmienić się musi. Świat idzie ku lepszemu — wierzę w to jak w ukrzyżowanego Chrystusa. Jego nauka nie tylko do niebios po śmierci, ale do szczęścia, o ile ono może być naszym udziałem — prowadzi i doprowadzi.

Stary umilkł poglądając na dalekie lasy, za któremi jeszcze się prześwieciła czerwona łuna zachodu.

— Słuchałem cię ze czcią i rozrzewnieniem, mój ojcze, odpowiedział Jan powolnie. Wszystko co mówisz jest prawdą — lecz więcéj zgadujesz niżeli znasz świat teraźniejszy, nigdy nie chciałeś nań wyjrzéć.

— Tak! to prawda, ale w mojéj ciszy i samotni, ty wiész że nie próżnuję, że mi oczy służą, a książka żadna nie nudzi. Wasze księgi malują świat najlepiéj, nie wówczas gdy myślą, że to czynią, lecz najczęściéj gdy o tém wcale nie wiedzą.— Lubię ja konia, psa, powietrze i życie czynne—ale trzeba i myśl podsycać, bo inaczéj bylibyśmy zwierzęty. – Znam wasz świat i dlategom go nie ciekawy. Wasz świat dzisiejszy, to coś jak przerosła roślina, ktora nie daje ani kwiatu, ani owocu; dopiéro gdy ją ręka Boża podetnie u ziemi, gdy na nowo odrośnie po chłoście na którą zasłużył... gdy dożyje nowéj epoki... Starzec pokiwał głową i wzdychając dokończył: Jam przywykł do ksiąg starych, ktore mnie nauczyły na świat poglądać z góry... w dzisiejszym czasie widzę powtórzenie epoki, która poprzedziła ruinę Rzymu i cywilizacyi Rzymskiéj, ruinę Egiptu, ruinę Assyryi, epokę grożącą ruiną i zapowiadającą odrodzenie nowe; z tego co dziś jest, śmierć tylko u odzić się może. Nasz staropolski, choć go tam teraz obrzydzają jak mogą i piększą nie do rzeczy, daleko był wart więcéj, bo w nim był duch Chrystusa Pana. Występki były jak zawsze, lecz ogół i co rządziło ogółem, ten duch wieku jak wy zowiecie, wiał jeszcze wiarą, braterstwem, nadzieją... Dziś wiele słów, a szczerości mało — każdy gada, nikt nie robi.... Boję się o was—nim przyjdzie dobre, wiele złego przecierpiéć jeszcze musicie.

Znów umilkł starzec, a po chwili dodał:

— No, powiedzże mi co więcéj o téj pięknéj dziewczynie, która na twoją biedę tak cię zajęła.

— Cóż chcesz ojcze mój, żebym ci powiedział, wylałem ci z serca co w niém miałem—wszystko— piękna—obie są piękne— poprawił się — dowcipna i mowna.

— O, to nic potém, rzekł stary.

— Żebyś wiedział ojcze, jak z tém jest czarująca!

— Powiedziałbym ci coś, ale się nasrożysz.

— Z tobą ojcze!

— No! no! daruj staremu. — Dwa bo są kobiét rodzaje, i ci starzy poganie, u których wiele było sensu, choć téż dużo fałszu, najzręczniéj je podzielili. — Rzymianin szukał matrony, coby domowego strzegła ogniska; skromnéj, pracowitéj domatorki, któréjby mógł napisać na grobowcu: — Ognia strzegła, wełnę przędła. — Lecz gdy chodziło o roskosz bydlęcą, przyprawioną solą attycką, dowcipkiem, czarującą gracyą; — o! naówczas mosanie szli do dworek, do swoich Laisów i Aspazyi. Ale żaden się z nich z Aspazyą, Fryną i Safo nie żenił. Otoż tak mosanie, te najdowcipniejsze kobiéty, do których serce lgnie okrutnie, to najniebezpieczniejsze stworzenia na świecie. Im nieustannie potrzeba blasku, wrzasku, oklasku, nowych ludzi i nowych uczuć — mospanie. Powiédzże mi chłopcze, jak tu się z taką ożenić kobiétą?

Jan milczał.

— Nie jeden, gawędził daléj stary, nie spojrzy na cichą, na skromną, na kryjącą się od oczów, od spojrzeń, od ludzi niewiastę, ale to są skarby mospanie, dyamenty, na których się nie znają. Waćpan słyszałeś pewnie, że dyament co go to kędyś tam wymywają z piasków i błota, wcale nie ma pozoru błyskotliwego, a przecie to koron królewskich ozdoba, gdy tymczasem lada kiepski kamuszek czasem świeci się jak co dobrego. Tak to i z kobiétami.

— Czyż zawsze mój ojcze?

— Juściż nie zawsze, ale trafić na wyjątek trudno i rachować na takie szczęście, to Pana Boga kusić. — Ale już bo czas do domu, rzekł staruszek podnosząc się z kamienia na którym siedział. Widzę ztąd starą Dorotę i Kaspra, że miskę krupniku moją ponieśli — przez sieni — boć nie na co świecili łuczywem do piérwszéj izby.

To mówiąc wyprostował się Darski, otrzepał kapotę i z milczącym Janem spuścił się w głąb jaru. Chciał mu podać rękę syn, ale stary się ofuknął.

— Patrzajcie, masz mnie już za kalekę czy co?

— Ale po nocy!

— O! o! albo to ja tu każdéj bryłki ziemi nieznam, prędzéj się ty potkniesz jak ja, i nogi chwalić Boga, służą jeszcze.

Tak mówiąc zeszli w głąb i po ścieżce z poręczem wdrapali się na górę. Stary przywykły ani się nawet zasapał, mimo że wnijście dość było przykre. W dziedzińcu zastali Kaspra, który szedł właśnie prosić na wieczerzę. Mały, krępy, nizkiego czoła, szérokich pleców, rozczochranéj czupryny, długich rąk i zawiesistych warg pan Kacper wcale niepozorną miał minę. Ale nie było sługi nad niego! Piérwszym i największym przymiotem jego było to, że nigdy nic nie chciał, tylko to co pan. — Wcielał się w jego myśli, żądania, gusta i niedość że słuchał, ale rozkazów nie potrzebował. Nigdy Darski nic mu o użyciu dnia, o robocie nie potrzebował dyktować, Kacper magnetycznie jakoś wiedział, co potrzeba było robić i kiedy; zegar nie był nadeń regularniejszym. A choć strzegł się swoim własnym kierować rozumem, tyle go miał przecie, że dnie umiał wedle pory podzielić i wiedział co przystoi chmurnemu, a co pogodzie, co na chłód, a co na gorąco począć było potrzeba. To wyrzeczenie się siebie nie wiele go kosztowało — był najszczęśliwszy, zawsze wesół, rad wszystkim, piérwszy do wyperswadowania, jeśli się co złego stało. — Ożywiał sobą cały nie wielki dwór Darskiego, i był jego głową i duszą. Pod przewodnictwem tego znakomitego człowieka, któren ręce w tył założywszy szedł powoli obok pana i panicza, doszli do dworku. — Tu z wielkiém podziwieniem zastali obcego człowieka, właśnie w téj chwili podchodzącego ku drzwiom z białą kartką w ręku.

— A zkąd to moje serce? spytał razem prawie p. Darski i Kacper.

— Z Dąbrowéj, panie, z kartą. —

— Idźże Kacprze, przyjm gościa w czeladnéj, a ja pismo odczytam.

Stary zawsze tak obcych przyjmował, że ich musiał bodajby na chwilę tylko przybyłych ugościć, nakarmić, napoić i uczcić, jak można. Kacper wiedzący obyczaje, zaraz porwał posłańca i już się wesoło do niego uśmiechając, w najserdeczniejszéj gawędzie, wprowadził na przeciwek.

Z ciekawością ojciec i syn zbliżyli się do świecy i stary oddał Janowi list, będąc już pewien, że do niego być musi, ale oddał z westchnieniem. Sam usiadł w krześle swojém i zadumany nalewał sobie krupnik w prostą glinianą misę, która przed nim stała.—Jan czerwienił się po uszy czytając.

— No cóż ci tam piszą? spytał ojciec.

— Starościna —

— Jakto? sama starościna.

— Tak, ona podpisana.

— Cóż tedy?

— Ośmiela mnie i zaprasza do swego domu.

— Tam do kata! honor wielki! odparł Darski poczynając spokojnie jeść krupnik. Teraz chłopcze zginąłeś.

Jan znów w rękę pocałował i jakby go przepraszał — rzekł cicho —

— Pozwolisz ojcze?

— Co ja ci mam pozwalać lub bronić; nie jesteś młokos, masz lub powinieneś mieć rozum. I zabronienie na nicby się tu nie przydało — jeżli ci to już smakuje, nie tu to gdzieindziéj znalazłbyś co lubisz. Niech się dzieje wola Boża! — Jako ojciec, radzić będę — gdérać mogę, płakać nawet—ale bronić nie myślę. Daj tylko Boże, żebyś w istocie trafił do tego szczęścia, które tam widzisz i nie zaszedł gdzie nie myślisz.—Niech cię Bóg strzeże, niech Bóg błogosławi; stary rozum do młodych spraw na nie wiele się przyda.

I gdy Jan pospiesznie odpisywał na list, bo wszystko w nim wrzało, Darski tymczasem krupnik swój zajadając, gawędał.

— Nie znałeś świętéj, poczciwéj a tak wcześnie zgasłéj matki swojéj. Daj ci Boże w życiu za towarzyszkę taką, jak ona była. Aleciem jéj nie szukał wysoko. Była córką ubogich, pracowitych ludzi.— Łzy mi płyną gdy ją wspomnę, choć dwadzieścia kilka lat jakeśmy się rozstali.

Tu starzec rzucił łyżkę i spuścił zasmucone poważne oblicze.

— Rozstali się na chwilę, ale połączym nazawsze. Gdybym mógł skutecznie się modlić, o nicbym nie prosił Boga, tylko o taką żonę dla mojego Jasia.

— Mój ojcze!—z zapałem podchwycił Jan, wierz mi, ja cię tak szanuję, tak kocham, że gdybym widział najwyższe szczęście w kobiécie, a tyś mi porzucić rozkazał — porzuciłbym.

— O! o! to za wiele — tak się waści zdaje — ale

to znowu w twoim wieku za nadto wielka ofiara. — Cóżeś tam odpisał Jasiu?

— Że jutro będę się stawił. Poszlę dziś po mój powóz i konie, i —

— I głupstwo zrobisz! wiesz co — tu nikt ani wié żeś bogaty, nie wydawaj się z tém póki cię nie spytają — kłamać, niech Bóg broni! ale ręczę, że się tego nie domyślają, a chwalić się nic do rzeczy. Na co ci powóz i konie — weźmiesz siwego, dam ci nową kulbakę —

— Ale jakże? ubrany? —

— A czy to daleko?

— Przeciwko zwyczajowi?

— Żartuj sobie z tego, śmieszności w tém nie będzie, a niezwyczajna rzecz, byle nieśmieszna w kobiecych oczach, wcale ci nie zaszkodzi.

— Jak każesz ojcze.

— Radzę i dobrze ci radzę. I nie wyrywaj się ze swemi dobrami w Litwie, owszem milcz.— Już jeśli do kaduka masz szukać żony wysoko, niechże będzie pewność, że cię szczérze kocha. Jeśli cię przyjmie, sądząc żeś ubogi—no, toż to coś znaczyć może.

Odesłano list i Jan zamyślony, ale weselszy siadł do wieczerzy, do któréj i Kacper się przystawił posługiwać.

— A gość? spytał stary.

— O! już poszedł jak mu tylko list oddano, mówił że mu kazali zaraz powracać.

— Aleś go uczęstował.

— A jakże! a jakże! toć wiemy zwyczaje i prawa, *jak ten powiada* (to było Kacpra przysłowie).

— Nie wypytywał posłaniec?

— A jakże, a jakże— ale mnie muchy z nosa nie łatwo wyciągnąć — pytał się o panicza czy daleko mieszka — a ja mówię o! daleko.— Cóż to przesiada na dziedzictwie?—podobnoś — odpowiedziałem. I musi być bogaty? pyta znów—a ja mu: kto to tam wié, jak ten powiada — to tak daleko.

— Rozumnieś odpowiedział Kacprze, rzekł stary.

— A już to ja — głupstwa nie zmaluję, przechylając się na jednéj nodze z niejaką dumą odparł sługus.

— A potém.—

— A potém już jakby mu gębę zamalował, jak ten powiada — tylko dwa kieliszki wódki wypił.

— I zakąsił.

— Kiełbasą! a jakże! kiełbasą!

— No! kiedy on zakąsił, dawajże i nam czém po krupniku zakąsić, odezwał się stary.

A Kacper na jednéj nodze poleciał po drugą potrawę, którą były świéże kartofle.

Nie potrzebujemy dodawać, że Jan nie jadł; w jego położeniu nic się nie jada, chyba przez roztargnienie, żołądek wówczas karmi się sercem tylko.

IV.

Są chwile w życiu człowieka przestraszające go, choć bojaźni, któréj doznaje patrząc na nie gdy się zbliżają, nic wytłumaczyć nie potrafi. Nie zawsze przeczucie wieszcze wstrząsa sercem i cofać się doradza — czasem wielkość nadziei rodzi obawy, by ich mgnienie oka nie zniszczyło. Głowa się zawraca, usta bledną, oko patrzy i nie widzi, myśl nawet jak ptasze, nad którém krąży jastrząb niewidomy, osłabłemi skrzydły plącze się w powietrzu i opada.

Najodważniejszy, najprzytomniejszy w tych krytycznych życia peryodach nie poznaje sam siebie, a gdy późniéj chłodniejszém okiem spojrzy na bojaźń doznaną, śmieje się z niéj jak z dzieciństwa.

Jan dojeżdżał do Dąbrowy z takim właśnie niepojętym przestrachem, jakiśmy tu opisali. Czego się lękał? nie wiedział; tłumaczył sam sobie, iż bojaźń była nierozumném uczuciem, chorobą jakąś, dzieciństwem, a obawiał się przecie. Najmężniejszy nawet człowiek doznaje tego wstrząśnienia obawy w chwilach, gdy się ma mierzyć z losem, z tajemniczym olbrzymem, przeciw któremu siła i rozum nic nie nadadzą; najsceptyczniejsze serce wzdycha naówczas modlitwą pokory pełną; biada tym co strachu nie znają.

My wnijdźmy przed Janem do pokoju staruściny i zajrzyjmy do niego w chwili, gdy Julia wracająca z przechadzki, zmęczona, poruszona przysiadła na stołeczku u nóg babki.

— Widzisz dziecko moje — rzekła do niéj staruszka, przykładając rękę do jéj skroni — jak ci krew bije do głowy cała jesteś czerwona, a takeś się zmęczyła. Tyle razy cię proszę, żebyś nie biegała. I Marya pozwala na to.

— Mowiłam Julii, prosiłam.

— Ale babciu, kiedy mi to nie szkodzi!

— Tak, nie szkodzi! chwała Bogu, ale może ci zaszkodzić. Ruch mierny służy zdrowiu, ale taka gwałtowna agitacya.

— Moja babciu, a kiedyż biegać, jeśli nie w moim wieku?

— Z umiarkowaniem.

— Tego ja nie rozumiem, to niewola!

— Całe życie niewola, dziecię moje.

— A niech Bóg broni!

— Cóż ty na to poradzisz?

— Co? nie poddam się — zawołała Julia tupając nóżką—umrę a nie poddam się.

— Dziecko! dziecko!

— A! a! wielka nowina babciu! z nią to tak do ciebie leciałam. Tajemnica odkryta.

— Jaka tajemnica?

— A! mój nieznajomy.

— Twój?

— To jest nasz, mój i Maryi.

— O! ja się do niego nie przyznaję — przerwała Marya cała w płomieniach.

— Kiedy mi nie wolno powiedzieć *mój*, muszę mówić nasz.

— I cóż ten twój nieznajomy?

— Wiem kto jest.

— Pewnie coś nie ciekawego.

— Wszak to babciu droga, syn tego starego Darskiego z Jarowiny, o którym tyś mi sama rozpowiadała.

— Syn Darskiego? nie wiedziałam, że miał syna.

— Nie mieszkał tutaj, siedzi gdzieś w Litwie, przyjechał tylko do ojca. Otóż kochana babciu, (szturmem dobywając twierdzy—dodała Julia)—dał mi słowo, że u nas będzie. Chodzi tylko o to, kto go wprowadzi, bo nikogo znajomego nie ma.

Staruszka zamyśliła się i widać było, że nie całkiem była rada zaprosinom wnuczki.

— Jakto?—spytała po chwili—sam się zapraszał być u nas?

— A! chowaj Boże! ja go zaprosiłam.

— Ty! ty, moje dziecko.

— A cóż to złego babuniu; młody, dobrze wychowany i bardzo miły człowiek, nasza okolica tak pusta, łapię jak mogę.

Babka pogroziła na nosie wnuczce.

— Patrzaj—rzekła—co o tobie pomyśli?

— A cóż pomyślić może? żem grzeczna.

— A jeźli to jaki bałamut, któremu się ubzdrzy?

— Ale nic mu się ubzdrzyć nie może, ręczę. Oho! nie takem go zapraszała. Zresztą babunia moje zaproszenie naprawi i napisze do niego od siebie.

— Ja! moje serce.

— Tak! babciu kochana, i to dziś jeszcze.

— Ale ja tego nie zrobię, niewypada! niewypada.

— Czemu?

— Gdzież to kto słyszał!

— Owszem babuniu. Darscy ubodzy, ubogiemu oszczędzić pierwszego kroku, ciężkiego dla jego miłości własnéj, godzi się i potrzeba. Gdyby był bogaty, nie mówię.

— Ale na coż on nam, proszę ciebie.

— Na co ludzie ludziom. Wszakże potrzebujemy towarzystwa?

— Młody człowiek, gadać będą.—

— O! niech sobie gadają, o to najmniejsza.

— Dla kobiéty wcale nie.

— Tém się gubią kobiety, że na paplania uważają; wieleż głupstw się robi dla ludzkiego języka.

— Nie wiesz sama co mówisz.

— A więc babunia pisze?

— Nie, dziecko moje, byłoby to coś—nie wiem, zdaje mi się, nieprzyzwoitego; byłoby to, jakbyśmy go łapać chcieli.

— Łapać! czyż kto nas o to posądzi! czy tego potrzebujemy, łapać ubogiego! nieznajomego! my!! Babciu! a któżby nas o to posądził?

— A wreszcie dziecko moje, jest jeszcze jedna ważna przyczyna, dla któréj wprowadzać młodego Darskiego do mego domu waham się.

— Jakaż być może?

— Powiem ci ją moje dziecko, nie jest to tajemnicą żadną. Darscy byli zawsze bardzo uczciwemi ludźmi, ale przez dziwactwo swoje stracili wziętość w sąsiedztwie, i odłączyli się zupełnie od towarzystwa. Bogaci będąc, wzgardzili nami, zubożawszy, ani się chcieli przez dumę schylić do ludzi. Jeden raz tylko starł się stary Darski z jednym blizkim krewnym naszym, i spotkanie ich pozostawiło po sobie pamięć i nienawiść niezmazaną.

— Z kimże to babuniu?

— Właśnie z opiekunem twoim, z prezesem.

— Jakto? prezes...

— Prezes i Darski zeszli się w domu ubogiego człowieka, o którego córkę obadwa się starali. Prezes naówczas nie był jeszcze tak bogaty jak dzisiaj, a był młody i szalenie zakochany. Darski śmiał mu stanąć na drodze i ożenił się z tą, którą on za swoją już uważał.

— A! cha! cha! prezes zakochany, tego sobie wyobrazić nie umiem.

— Prezes tak dalece był przywiązany do téj panny, że wcale się potém nie ożenił, i na całe życie została mu w sercu nienawiść przeciw Darskim. Ludzie nawet mówili, że się przyczynił wielce do zrujnowania ich majątku, i gdyby nie prześladował starego, ten mógłby był wyjść z interesów.

— O tém nigdy nie słyszałam.

— Widzisz więc, że bez wiedzy i przeciw woli prezesa, zapraszać w dom młodego Darskiego, jest to przygasły zaledwie ogień rozdmuchiwać. I tak, Bóg widzi, nie mogę się skarżyć na opiekuna twego; cóż to będzie, gdy mu damy słuszną przyczynę niechęci.

— A cóż ma być babuniu, prezes będzie mruczał według zwyczaju, zagryzał usta, złościł się, a my zrobim swoje.

— I zrobione opłacim nie jedną przykrością.

— Babcia się wszystkiego boi.

— Bom stara, moje dziecko, i przeszłam wiele.

— Ale dla tego napiszemy do Darskiego?

— Jakaż ty uparta!

— Jak koziołek? nieprawdaż? Ja piszę, babcia podpisuje, posyłamy i rzecz skończona, a napiszę tak zręcznie, tak rozumnie!

I Julia tak potrafiła przynaglić staruszkę, że nim się ściemniło, wysłano list do Jarowiny.

Nazajutrz przybywał Jan po południu, w chwili właśnie, gdy babunia usnęła była po swoim postnym obiedzie, a dwie panienki w saloniku siedząc, półgłosem czytały. Tentent konia wstrząsł Julię. Marya pobladła tylko i spuściła głowę na krosienka.

— To on!— szepnęła Julia, — i w téj chwili Jan bledszy niż zazwyczaj, odemknął drzwi salonu.

— Cicho! na palcach! zamiast przywitania — szepnęła Julia.—Babcia śpi, siadaj pan.—I wskazała mu krzesło obok siebie. — Konno pan przyjechałeś?

— Jak zawsze.

— W takie gorąco?

— To mi nic nie szkodzi, przywykłem do wszystkiego.

— Prawdziwie, takby wszyscy powinni jeździć mężczyzni. W miękkim koczu wcale im nie do twarzy. Dziękuję panu wcześnie w imieniu babki, nim ona sama to uczyni, żeś nas tak prędko odwiedził. My tu żyjemy tak samotnie, okolica tak pusta.

— Mnie się przeciwnie zdawało, że sąsiedztwo bardzo liczne.

— O bardzo liczne, ale pan wié co to jest na wsi sąsiedztwo. Jedni nas nie chcą, drugich my nie życzymy, trzeci czasu nie mają, innych chcielibyśmy a boim się.

— Do którejże z tych kategoryi zaliczysz mnie pani?

— Do żadnéj, pan nie jesteś naszym sąsiadem.

— I bardzo żałuję, że nim nie jestem.

— Czcza grzeczność, za którą dziękuję, nie lubię grzeczności. Ludzie się niemi częstują, jak dzieci cukierkami, ale to nie karmi. Ale otóż słyszę, że się babunia budzi, pobiegnę do niéj, uprzedzę o gościu, pójdziemy do niéj. Ty Maryo baw pana Darskiego.

Marya blada podniosła głowę od krosien.

Julii już nie było. Jan nie wiedział jak począć rozmowę z milczącą, smutną, siedzącą naprzeciw niego dziewicą, drżącą jak listek. Szczęściem tyle wszędzie było kwiatów, że rozmowa najnaturalniéj począć się od nich mogła.

— Dąbrowa, to prawdziwy kosz kwiatów —rzekł, cóż to za mnóstwo ich, i jak cudne!

— Julia i babka lubią obie kwiaty namiętnie — odpowiedziała Marya po cichu.

— A pani?

— O i ja je lubię, ale Julia do szału, do pasyi swoje wychowanki kocha. Dla niéj kwiatek jest czémś więcéj jak dla nas wszystkich.

— Ja najlepiéj lubię nasze, własnéj ziemi kwiaty.

— O! i ona je wykopuje, przesadza, pielęgnuje i przenosi nad zagraniczne, nad któremi czuwać potrzeba, żeby ich wietrzyk, żeby ich chłodek, skwar, lub najmniejsza zmiana powietrza nie umorzyła; tamci to goście z zamorza, ci to sąsiedzi i przyjaciele.

— Znać w Dąbrowie bardzo to zamiłowanie, cała w kwiatach jak w wianku.

Kończył tę nic nieznaczącą rozmowę, któréj daleko więcéj znaczące towarzyszyły wejrzenia, gdy Julka wprowadziła opierającą się na niéj starościnę, z uśmiechem dobroci wchodzącą do salonu.

— Pan Darski!—zawołała.

— Bardzom szczęśliwy, że mi wolno podziękować pani osobiście, za jéj łaskę dla nieznajomego. Obcy w téj stronie teraz, wywiozę ztąd wspomnienie najmilsze przyjęcia, na które nie zasłużyłem, którego spodziewać się nie miałem prawa.

— Siadajże pan dobrodziéj, — a dawno w tych stronach?

— Od kilku tygodni, i teraz jestem na wyjezdném.

— Jakto? porzucisz pan starego ojca?

— Wrócę wkrótce do niego, teraz mam obowiązki powołujące mnie do Litwy.

— Wielka szkoda, moje panny rachowały już na pana, jako na tancerza, na jesień i zimę.

— Któż wié, może nie omylę rachuby i powrócę.

— Powracaj pan, u nas się bardzo dobrze bawią.

Zaturkotało.

— Ktoś przyjechał?—spytała staruszka.

Julia wyjrzała oknem.

— Pani podkomorzyna. A! to wybornie, jeszcze nie wié kto pan jesteś, cicho! cicho!—I pobiegła ku drzwiom, któremi już wtaczała się dostojna kuzynka z panną Matyldą, trzymającą lornetkę w ręku, flakonik w drugiém. Trzeba wiedziéć, że Tysia miała słabe oczy, słabe nerwy, słabe piersi, i chorowała na rodzaj melancholii, który cierpią wszystkie panny nie mogące pójść za mąż. Od roku pokaszliwała, przeczuwając suchoty, ale wyglądała dość dobrze i nadto nawet, pomimo octu, o któren ją matka strofowała, bo miała pasyę wyglądać chudo, mizernie i melancholijnie, pasyę, którą ją złe romanse nabawiły.

Podkomorzyna rzuciła okiem po salonie, zobaczyła Jana i ledwie przywitawszy się ze starościną, zwróciła ku niemu.

— Widzę pana tutaj, a więc tajemnica rozjaśniona. Julka nie dozwoliła babce zaprezentować gościa.

— Przecież trwa wyzwanie?

— Uznaję się zwyciężoną.

— Pan Darski—wskazując ręką, przemówiła staruszka.

Podkomorzyna, która się wcale nazwiska tego spodziewać nie mogła, skłoniła się dosyć ozięble sznurując usta, i dodała:

— Powinnam się była domyśléć.

Nastąpiły oklepane pytania.— Gdzie pan mieszka? i tym podobnie. Potém Matylda zwróciła się udając niezmiernie lekką i powietrzną istotę ku Maryi, którą z zapałem nerwowym ściskać i całować zaczęła, szepcząc jéj coś na ucho. Podkomorzyna siadła przy starościnie, a Julia zaczęła rozmowę z Janem.

Zabójcza to była rozmowa. Wzrok Julii, któremu nic oprzéć się nie mogło, jéj wejrzenie przeszywało na wskróś Jana, któren cierpiał rozkosznie, czując się tak już okutym, tak oczarowanym, tak podbitym, że o świecie całym zapomniał. Jakieś nieznane światy, niepojęte szczęścia, niezbadane głębie rozkoszy nadziemskiéj widział w tych niebieskich źrenicach, które mu mówiły więcéj daleko, inaczéj daleko niż usta: obiecywały mu raj. Usta Julii szydersko uśmiechające się, z których słówka śmiało, dowcipnie, lekko wylatywały jak ptaszki, uderzały go sprzecznością wyrazu z cudnemi jéj oczyma. Patrzał, błąkał się i szalał, nie mogąc pojąć téj istoty tak wdzięcznéj, tak wabiącéj, a razem tak strasznéj. Rozmowa, jak ogień wejrzeniami podsycana, zapalała się, płomieniła, obejmowała coraz szersze kręgi, świeciła coraz jaśniejszą łuną, ulatywała w powietrze, nie tykała już ziemi. Julia także zapomniała, że na nią patrzały: babka, podkomorzyna, Matylda — Matylda, która przy słabych nerwach miała mocną ochotę do plotek. Musiano wreszcie odwołać nieuważne dziecko; ale po czasie. Julia mówiła sobie w duszy — będę go kochała!—A gdy kobiéta sama sobie powié: — kochać go będę!—już go kocha! Jeśli obiecuje ludziom temi samemi słowy, naówczas kochać nie będzie. Jan zapomniał łzawego spojrzenia czarnych oczów Maryi, powiedział sobie w duszy:—będę cierpiał, wszystko zniosę, ona być musi moją, ona mi jest przeznaczoną. Julia biegała jeszcze z narzuconemi jéj kluczykami, które przeklinała, gdy turkot powtórny dał się słyszéć i w téjże prawie chwili otworzyły się drzwi salonu. Wszedł mężczyzna stary, kulawy trochę, na lasce się opierający, wychudły, zgarbiony, ubogo, a raczéj brudno i sknersko ubrany. Twarz jego zastraszała wyrazem niczém nie pokrytéj nienawiści, gniewu i wszystkich płynących z nich uczuć. Żółty, zmarszczony, z ogromnemi oczyma czarnemi, błyszczącemi ogniem dzikim, z usty, które po wypadłych zębach, jeszcze dziwniejszy wyraz dumy i wzgardy przybrały, z wielkiemi białemi uszami, łysą na wpół głową, któréj czaszka guzowata i nieforemna, najeżoną resztą włosów pozostałych opasana była; podszedł ten osobliwszy gość śmiało i srogo oglądając się dokoła aż ku starościnie. Pocałował ją w rękę od niechcenia, uśmiechnął się niby Julii, kiwnął głową reszcie, zmierzył z podziwieniem Jana i padł na krzesło, tyłem się ku niemu zwracając.

— Kaducznie trząska droga odemnie do starościny!—zawołał, trąc ręką po czole.

Wszyscy milczeli zmrożeni przybyciem prezesa; był to opiekun Julii. Najmniéj jednak wrażenia na niéj uczynił; płacąc za niegrzeczność jego, poszła do Jana sama śmiało, i zaprosiła go w ganek, gdzie Marya i Matylda także wyjść miały do przygotowującéj się herbaty.

— Kto to jest?—spytał Jan cicho.

— Mój opiekun, prezes—odpowiedziała Julia.

— Prezes! — zawołał Jan — prezes!— Twarz mu się zmieniła. Julia postrzegła to.— Opiekun pani?

— Tak, kuzynek i opiekun.

Zaledwie wyszli w ganek, gdy palcem wskazując młodego człowieka prezes, spytał starościny:

— A toż kto?

— Pan Jan Darski—nieśmiało i prawie drżąc odpowiedziała staruszka.

— Darski! — podchwycił opiekun porywając się z krzesełka—syn, syn.—Oczy mu się zaiskrzyły, zapłomieniły, ściął usta, drżał—syn tego!

— Syn znajomego prezesowi.

— Tak! znajomego, wroga! Cóż on tu robi?

— Julia go poznała na balu—mówiła starościna, i zaprosiłyśmy go, to jest, ja go zaprosiłam.

— Po co? — z uśmiechem rzekł prezes — po co? po co?

— Pozwolisz prezesie, że mogę przyjmować kogo zechcę—urażona odparła staruszka.

— Zapewne! zapewne! zobaczymy! Darski! — mruczał niewyraźnie stukając kijem i wstrząsając się cały, mówił prezes:—Zobaczymy! Pan Darski! hołota! moje wrogi. — Zachmurzyło mu się czoło, zżółkł w chwili bardziéj jeszcze i mnąc czapkę na kolanach leżącą, powtarzając niewyraźnie wykrzykniki jakieś, siedział z oczyma wlepionemi w ganek.

— Zaprosili, ale ja go wyproszę.

Tego niedosłyszała starościna, bo rozpoczęła mówić z podkomorzyną. Po chwilce prezes jakby mu myśl jakaś dzika przyszła, porwał się z krzesła gwałtownie i zapomniawszy podpierać się laską, założywszy w tył ręce, poszedł w ganek. Widać było po nim, że usiłował się miarkować, ale nie przywykły

do téj walki i tamowania wybuchów, naprożno stłumić je w sobie probował. Przekulał dwa czy trzy razy wzdłuż balkonu, zawsze z oczyma wlepionemi w Jana, którego pożerać się zdawał, nareszcie zastanowił się naprzeciw niego, milcząc szydersko i zjadliwie popatrzał mu w oczy, a widząc że się Jan nie miesza, odszedł.

— Temu panu — rzekł Jan do Julii — widocznie nie przypadłem do smaku.

Prezes posłyszał dość głośno wymówione wyrazy.

— Zgadłeś pan—rzekł grubiańsko.

Jan się ukłonił tylko.

— Niechże mnie pani zaprezentuje.

— Pan Jan Darski!—śmiało przemówiła Julia.

— Wiém o tém!—I z gniewem się odwrócił. Widocznie chciał upokorzyć, chciał wypędzić przybysza, a wahał się i nieśmiał jeszcze. — Nie przeszlibyśmy się po ogrodzie?—rzekł znowu wrząc cały.

— Bardzo chętnie — odpowiedział Jan.

Julia błagająco spojrzała na niego młody człowiek jedném wejrzeniem uspokoił ją. Miał on już tę wyższość nad prezesem, że był zimny i panem siebie, gdy tamten wspomnieniem przeszłości rozjątrzony, buchał nienawiścią i gniewem. Powoli zeszli ze wschodków.

— Co pan tu robisz?—rzekł prezes dumnie.

— A pan?—spytał grzecznie Jan.

— Jakto? jakto? ja! krewny, opiekun, pan śmiész!

— Ja jestem sąsiadem i gościem, nie sądzę, żeby do obowiązków opiekuna liczyła się niegrzeczność dla gości.

— Pan wiész kto ja jestem?

— Dowiaduję się co chwila lepiéj o tém.

— I wiész przeszłość?

— Zapewne urazę jaką pan masz do mojego ojca?

— Urazę! urazę! nie, nienawiść, chęć zemsty, ohydę, wstręt.

— Mógłżebym co na to poradzić? nie wiem, to pewna, że ojciec mój nadto jest dobrym chrześcianinem, żeby nienawiść chował w sercu i zemsty pożądał.

— Ja go zgubiłem!

— Mój ojciec nie zginął.

— Jam go zubożył.

— Mój ojciec ma dosyć dla siebie i dla mnie, nie chcemy więcéj. Co się tycze pańskiego udziału w ubóstwie mojego ojca, przesadzasz pan sobie to, czém się chlubić nie godzi. Ojca mego zubożyły ofiary, któremi poszczycić się może, nie pan.

— Wy mnie, ja was nienawidzę; to dom moich krewnych, mojéj pupilli, chcę żeby tu noga twoja nie postała. — To mówiąc stuknął laską, i myśląc że zastraszy Jana, zbliżył się ku niemu o pół kroku.

— Proszony przybyłem, i zdaje mi się, że nikt prócz starościny, nie ma prawa powiedzieć tutaj żebym wyszedł. Zostaję więc.

— Zostajesz?

— Tak jest.

Prezes bladł, strzelał oczyma, stukał laską i wił się z gniewu, który nim miotał.

— Ja nie mam prawa ztąd cię wyrzucić?

— Zdaje mi się że nie.

— Jeden z nas przecie ustąpić ztąd musi.

— Na to pozwalam, ale nie ja. Prędzéj nie odejdę, aż zechcę.

— Mości panie, pan nadużywasz mojéj cierpliwości.

— Panie prezesie, zapominasz pan, co winieneś temu domowi, co winieneś sam sobie.

— Waćpan mi dajesz nauki?

— Nie, ostrzegam go.

— Mówię raz jeszcze, nie chcę żebyś pan tu bywał.

— Jeśli pani starościna mi to powtórzy — odpowiedział Jan z chłodną godnością—jestem tu po raz piérwszy, zaproszony przez nią... nie starałem się o to szczęście, ale go lekko ceniąc, dla lada czyjegoś kaprysu nie poświęcę.

Prezes wściekł się zupełnie i kulejąc poszedł szybko w ogród. Jan nie bez śladów wzruszenia na twarzy, powrócił na balkon. Julia, która nie słysząc wszystkiego, domyśliła się przecie rozmowy, drżąc ze wzruszenia także nalewała herbatę. Widząc powracającego Jana spojrzała na niego, ale jakim wzrokiem? Jedno wejrzenie takie, mogło wieki mąk piekielnych nagrodzić. Starościna czując się niebardzo silną i zdrową, usunęła się do swego pokoju, a podkomorzyna wyszła na ganek prezydować przy herbacie. Prezes latał kulejąc po ogrodzie, zgrzytając resztą żółtych i czarnych zębów. Jan jak po bitwie osłupiały w dziwnym myśli chaosie spoczywał, marzeniem jakiémś zdawało mu się wszystko co doznał i przebył. Nie mógł się zmusić do uśmiechu, do rozmowy, do wcielenia się w towarzystwo—był zabity. Wzrok tylko Julii odżywiał go powoli i z odrętwienia wychodził.

— Co zrobić?—mówił w sobie — co zrobić, porzucić dom ten, porzucić ją, wyrzec się! Nie mogę! zapóźno! Lecz co za przyszłość! co za męki! ile przecierpiéć potrzeba! To dla niéj! Lecz będęż miał siłę?

— Zbliż się pan do herbaty — zawołała Julia—i rozpogódź czoło; godziż się być tak smutnym między nami?

— Smutek jest nieproszonym i niespodziewanym gościem, który wchodzi i zasiada, gdy najmniéj go wyglądamy.

— O! takiego gościa nie przyjmować.

— Biédni goście!—szepnął Jan—jeśli ich wypędzają, a im się tak chce pozostać.

Julia tylko słyszała te słowa półgłosem wymówione, i nic nie umiała na nie odpowiedziéć. Podkomorzyna wmieszała się do rozmowy i poczęła Jana rozpytywać o ojcu, którego chociaż była blizką sąsiadką, nigdy go nie widywała. Syn z miłością do zapału posuniętą, odmalował jéj życie spokojne święte tego starca, który niczego nie żałował, po niczém nie tęsknił, modlił się, pracował, pocieszał drugich i czekał śmierci, jakby pożądanéj godziny połączenia z długo niewidzianym przyjacielem i towarzyszem. Łzy zakręciły mu się w oczach, Julia ich nie widziała, ale Marya postrzegła i jéj także dwoje łez zamgliło czarne źrenice. Jan zobaczył te łzy współczucia i serce mu uderzyło; znowu uczucie niepojęte pociągnęło go ku Maryi. Ale to trwało mgnienie oka. Julia patrzała na niego, oczy jéj chwyciły znowu biédną duszę... Rozmowa stała się powszechną.

— Pozwolisz mi pani powrócić tu? — spytał korzystając ze szmeru Jan.

— Ja? wszakżem pana prosiła sama, a fałszem się brzydzę i—szczerą jestem.

— A prezes?

— Możemy nie uważać na dziwactwa prezesa.

— Więc mogę?

— Kiedy pan nasze strony opuszczasz? — głośniéj spytała Julia.

— Nie wiem sam jeszcze... Czyż i pani mnie wypędza?—rzekł ciszéj.

— Właśniem go namawiać chciała, żebyś pozostał przy ojcu, którego tak kochasz.

— Mam i inne zatrudnienia—obowiązki.

— Szkoda—wmieszała się podkomorzyna, usi-

łując Julię ratować — rachowałyśmy na pana jako na tancerza.

— Ja mało tańcuję.

— Doprawdy.

— A kto nie tańcuje, na cóż się w towarzystwie młodém przydać może?

— Juściż — odpowiedziała Julia — trzyma szal i pilnuje krzesła i flakonika.

— Tego się podejmuję najchętniéj.

— A maszże pan do téj missyi usposobienie, cierpliwość, wytrwałość, męztwo?

— To są cnoty, których się najpilniéj wyuczyć starałem.

— Cierpliwość?—dwuznacznie mówiła Julia.

— Niech mnie panie probują.

— Wytrwałość?

— Wszak to tylko długa cierpliwość.

— Męztwo?

— Są rzeczy, których się boję.

— Naprzykład?

— O bardzo wiele, długoby je liczyć było!

— Naprzód.

— Nienawiści ludzkiéj.

— A cierpliwość?

— Czy pomoże?

— Cierpliwość i męztwo chodzą z łagodnością, która jest siły oznaką.

— Ślicznie pani mówi. Często człowiek nie ma cnót, które dobry nauczyciel wpoić mu może, będę się starał, będę kształcił... będę pracował nad sobą.

Ta część rozmowy już była cichszą, bo podkomorzyna zaczęła coś o balu, a Jan i Julia mogli ją prowadzić niepodsłuchiwani.

— Zechcesz być pani nauczycielem moim?

— *C'est selon*, naprzód wiedziéć muszę przymioty ucznia.

— Wielkie i nieograniczone posłuszeństwo i — dodał—wiara w niego i coś więcéj jeszcze.

— Cóż więcéj?

— Powiedziéć się boję.

— O! już nie jesteś pan mężny.

— Przyznałem się do bojaźni w pewnych okolicznościach.

— Ale czyż tu jest czego się lękać?

— Może—bardzo.

— Ale kiedy ja chcę wiedziéć, to coś więcéj jeszcze.

—Pani się go domyślisz.

— Jestem bardzo niedomyślna.

Podkomorzyna przerwała, pytając Julii, czy uważała na balu suknię strapczynéj dobraną kolorami do munduru mężowskiego.

— Rzekłby kto, że z przywiązania — dodała — a jednak pani strapczyna zawraca głowy wszystkim panom urzędnikom do szczególnych poleceń.

Jan wziął za kapelusz i pożegnał towarzystwo, czuł się nie w stanie pozostać tu dłużéj, prosił Julii, żeby od niego przeprosiła starościnę i pożegnała ją, gdyż był zmuszony odjechać.

Przy odjeździe ostatnie Julii wejrzenie dobiło Jana; Marya nie śmiała na niego podnieść oczów. Wkrótce tentent konia dał się słyszéć w dziedzińcu. Prezes, który niedaleko krążył, wysunął się z za drzew i kulejąc pospieszył na balkon. Tu rozsiadł się przy Julii, milczący nalał sobie herbatę i oczyma ylko ognistemi rzucając po siedzących, pił i jadł łapczywie. Skończywszy, spojrzał na srebrny, u tasiemki czarnéj zaczepiony zegarek i skrzywił się.

— A starościna?—spytał.

— Odpoczywa, trochę słaba.

— Muszę się z nią widziéć.

— Wątpię żeby teraz było można.

— Poczekam.

Sparaliżowana rozmowa, któréj nawet dość mowna podkomorzyna, w obec ziębiącego prezesa, prowadzić daléj nie śmiała, przerwała się. Panny tylko szeptały po cichu. Dzwonek starościnéj dał się słyszéć. Julia pobiegła i wróciła po chwili.

— Babunia prosi pana prezesa.

Wstał kulas i zmierzywszy okiem wnuczkę poszedł. Staruszka jak zwyczajnie, siedziała w swojém krześle i ochłonąwszy z przykrego wrażenia, jakie na niéj zrobiło obejście się prezesa z Darskim, oczekiwała zapowiedzianego gościa. Wszedł kulawy i usiadł naprzeciw.

— Cały jestem w passyi—rzekł po chwili — nie spodziewałem się tu zastać tego chłystka.

— Mój prezesie, cóż za dziwne uniesienie?

— Pani nie wiész jak ich nienawidzę.

— Czas było zapomniéć.

— Nie zapominam nigdy.

— To źle, to źle, to nie po chrześciańsku.

— Już jak to jest, to jest, a tak być musi. I proszę pani, żeby tu więcéj nie bywał.

— Dla czego, prezesie?

— Bo ja tego sobie nie życzę.

— Nie widzę przyczyny, kochany prezesie.

— Starościna rozumiéć mnie nie chcesz, a więc nie obwijając w bawełnę, powiem co myślę. Wątpię żeby ten szerepetka śmiał pomyśléć o Julce.

— I ja wątpię.

— No, ale dziewczęciu się w złą godzinę głowa zawrócić może, panny Maryi także nie dam za niego; a wreszcie cierpiéć Darskich nie mogę i spotykać ich tu niechcę—niechcę, bo niechcę! i po wszystkiém.

— Mówisz prezesie, jakby Julka i Marya nie od siebie i nie odemnie, ale od ciebie tylko zależały. Przecież tu jeszcze ani mowy o niczém nie ma; ale gdyby co było, jać mam większe prawo rozporządzać wnuczką.

— Największe! i zupełne — kłaniając się rzekł prezes, a ja, ja—dodał — ja mam prawo mój majątek oddać komu zechcę.

— Tego ci nie zaprzeczam — odpowiedziała zmieszana trochę staruszka.

— I jeśli nie po mojéj myśli postępować się tu będzie, pewna, że grosza po mnie Julia nie weźmie.

— Ależ nic się przecież nie myśli, nie robi.

— Tak, i właśnie póki nic nie ma, czas przestrzedz, gdyby co było,—jażbym darmo ust nie studził.

Starościna tonem i myślą rozmowy widocznie była urażona i pomieszana.

— A więc Darskiemu napisać, czy powiedziéć, żeby nie bywał.

— Wczoraj pisałam do niego zapraszając sama, tego uczynić nie mogę; powodu nie dał.

— Dał powód, mówił mi niegrzeczności.

— On! tobie, prezesie?

— Tak, w domu starościny, jéj krewnemu, opiekunowi.

— To być nie może.

— Tak jest.

— Cóż mógł ci powiedziéć?

— Kazałem mu iść precz.

Starościna łamiąc ręce, powstała na krześle.

— Prezesie, godziż się to?

— Co to godzi, nie godzi, zrobiłem tak i kwita; odpowiedział mi hardo, że nie mam prawa, że...

— Miał słuszność.

— On?

— Prezesie zlituj się, zapominasz się, poniżasz sam.

— A więc go nie wypędzisz pani?

— Ale to być nie może.

— Więc moja noga tu nie postanie, póki on w tych stronach kręcić się będzie; a jeśli, Boże uchowaj, Julka, no! nie potrzebuję wiele mówić. Jestem jeszcze panem mojego majątku. — To powiedziawszy wstał i wyszedł.

Dla rozjaśnienia gróźb, które prezes tak grubijańsko rzucał w oczy staruszce, dodać musimy, że bogactwo Julii i jéj przyszłość całk em prawie spoczywały na prezesie. Ogromny, sknerstwem niesłychaném zebrany majątek. testamentem był jéj przekazany; na majętnościach starosty, summy za życia jego pożyczone od prezesa ciężyły.

Prezes więc zagrażał starościnie i jéj wnuczce zupełném prawie ubóstwem. Nie dziw więc, że babka rozpłakała się łzami rzewnemi po wyjściu jego.

Julka wyprawiwszy do ogrodu swoich gości z Maryą, sama jakby przeczuwając potrzebę pocieszenia staruszki, wbiegła do jéj pokoju i zastała ją we łzach.

— Babciu! co to babuni!

— Co? nic, nic, tak: myślałam sobie, modliłam się i łzy mi jakoś potoczyły się z powiek. To mówiąc przyciskała, tuliła jedyną wnuczkę do siebie.

— O! nie! nie, coś to jest, tu był prezes, niech mi się babcia przyzna.

— Ale nic mi nie jest, dziécię moje.

— Jakto nic? To nie te łzy co płyną za przeszłością, ja się znam na tém. Babunia nic mi nie utai.

— Roi ci się, dziecko moje najdroższe...

— A chce babunia, to powiem co to jest? i czego płacze?

— Ja?

— Tak, prezes chce wypędzić Darskiego od nas, choć nie wiem co on tu mu szkodzić może; babcia nie śmié tego zrobić, a on gotów po swojemu zaraz grozić, że mi swoją fortunę odbierze! Mój Boże! a co mi to szkodzi! nie łakomą jestem na jego majątek! Na co mi on, dość będziemy miały swego—gdybym i nic nie miała, prócz mojéj młodości i wesela, tego mi wystarczy jeszcze...

— Nie wiész co paplesz.

— To prezes babciu paple, u niego lada co, jedna groźba na języku, nie uważać i po wszystkiém.

— Jednak. gdybyśmy mogły grzecznie, nieuchybiając, dać do zrozumienia Darskiemu, juściż dla nieznajomego człowieka taki miéć kłopot i strapienie.

Julia zczerwieniła się, zmieszała.

— Jak chcesz babciu – rzekła — jak chcesz, on nie potrzebuje oznajmienia, po tém co się z nim dziś stało...

Starościna spojrzała na nią i postrzegła dwie wielkie łzy, które kręciły się w oczach dziewczęcia, jak dwie jasne perły. Przelękła się.

— Jakto - już! już! zawołała.

Nic nie mówiąc głowę skryła Julia na kolanach babki, która przelękła, poruszona, słowa więcéj w ustach znaleść nie mogła.

— O mój Boże, odezwała się nareszcie. otóż to moja niedołężna starość, dopuścić do tego, żeby piérwszy nieznajomy, Bóg wié kto, zawracał głowę dziecku najdroższemu....

Upamiętała się Julka i po cichu rzekła:

— Głowy mi nie zawrócił – ale czuję, że gdybym go nigdy, nigdy zobaczyć nie miała. na całe życie smutną — może nieszczęśliwąbym była. Ja go nie kocham jeszcze, ale nie wiem — coś mnie pociąga.

— Cicho! cicho! na miłość Bożą, cicho! a nuż kto posłyszy! dziecko moje! zlituj się nademną! kara Boża! kara Boża!—I zniżając głos dodała: — Widziałaś go ledwie kilka razy, po chwilce, nie znasz, nie wiesz – to dzieciństwo, wybij, wybij to sobie z biédnéj główki.....

— Tak to dzieciństwo— sprobujże babunia, pisz niech tu więcéj nie bywa, zobaczysz.

Starościna spojrzała na wnuczkę —

— Doprawdy?

— Sprobuj — cóż szkodzi sprobować? śmiejąc się boleśnie dodała wnuczka.

Ale staruszka siły na to nie miała, jedno spojrzenie macierzyńskie nauczyło ją jak próba byłaby niebezpieczną, westchnęła przyszłość polecając Bogu!

V.

Stary znów siedział na kamieniu pod krzyżem, gdy Jan nadspodziewanie prędko z Dąbrowéj powrócił. Spytał go o przyczynę powrotu i syn nic nie zataił, powtórzył nawet całą swoją rozmowę z prezesem.

Darski uśmiechał się z politowaniem.

— Długa, rzekł, pamięć, długa nienawiść, niech mu ją Bóg przebaczy, jak ja mu ją daruję. Zawsze był takim, życie całe, gwałtownym do szału, namiętnym do zapomnienia się. I wiek go widać nie zmienił. — Jednę miał dobrą chwilę w życiu, tę, w któréj na cnotach matki twojéj się poznał—nie mogę gniewać się na niego, że mści się na mnie za nią — ja po niéj dotąd płaczę. Każdy tak kocha jak umie — on przedłuża swe przywiązanie zemstą, ja łzami; obu nam pamięć jéj droga! Biédny człowiek — kocha ją jeszcze!—Ale—dodał starzec—ty tam więcéj nie będziesz.

Jan zdziwiony ust nie otworzył.

— Niechcę i zakazuję ci tego, dla chwilowego i jeszcze nie rozwiniętego kaprysu, dla kobiéty, jakich tysiące po świecie może — wnosić w dom niepokój, w rodzinę poróżnienie, może łzy, żal—niezliczone strapienia i skryte boleści — niegodzi się — niegodzi. Znam prezesa, wiem okoliczności w jakich zostaje starościna; cały majątek wielki, którego spodziéwać się może Julia, w prezesa jest rękach. Zapisał go, ale może odebrać. Staruszka tegoby nie przeżyła, a przy gwałtowności tego człowieka, dla fraszki gotów to zrobić.

— Alboż ja chcę bogactw — ja kocham Julię.—

— Już ją kochasz? Janie! Janie! nie profanuj tego słowa, lada miłostek niém nie zwać, bo na święte uczucie potém wyrazu ci nie stanie. — Mówiłeś mi wczoraj — gdy ci rozkażę, porzucisz. W żadnym innym razie nie rozkazywałbym ci nigdy — tu muszę, chodzi o zachowanie godności niczém dotąd niesplamionego imienia.

Jan spuścił głowę.

— Ojcze - spytał — miałżebyś odwagę rozkazać mi. Ty wiész, ja nigdy nie kochałem jeszcze, ale teraz czuję, że ją kocham, i czuję, że na zawsze.—To nie jest przechodzące uczucie, to właśnie ta święta miłość, o któréj mówisz.— Bez niéj nie ma dla mnie życia.

— Mój Boże — tak się zapalić od jednego wejrzenia.

— Znam ją, jak gdybym żył z nią wieki, każdą jéj myśl czytam w oczach, rozumiem każdy wyraz niewymówiony, co się w jéj ustach zatrzymał.

— Ale któż ci zaręcza, że ona kochać cię będzie?

— Jakto? jam o tém nie wątpił na chwilę — taka miłość jak moja nie może być bez wzajemności.

— Dla czego?

— Wytłumaczyć nie umiem; czuję i jestem tego pewien.

— A jednak nie pojedziesz tam więcéj.

— Ojcze to nad siły.

Stary Darski wziął syna za głowę, pocałował go w czoło i z uczuciem rzekł:

— Jeżeli mnie kochasz, Janie!

— O mój ojcze! o mój ojcze! Tyle tylko wyjęknął i zakrył oczy.

— Nie rozpaczaj, rzekł starzec — jeśli to jest niezwalczone przywiązanie z obu stron, nie będę się zastanawiał ani nad groźbami prezesa, ani nad niczém w świecie. Jutro pojedziesz do Litwy, pół roku nie będziesz u mnie. Po powrocie możesz być u staróścinéj.—Teraz—nie—tak chcę—Jasiu... i zrobisz jeśli mnie kochasz.

— Jakto? odjechać bez pożegnania, gdym być obiecał.

— Trzeba, Janie.

— Cóż one pomyślą —

— Niech myślą co chcą.

— Żem się zląkł prezesa.

— Chociażby. Jeśli cię ta kobiéta kocha, nic złego nie pomyśli o tobie; przywiązanie jéj przeżyje bez nowego pokarmu pół roku. A teraz, chodźmy do domu i poczytaj mi trochę, oczy mnie bolą...

Nazajutrz Julia i Marya siedziały pod znajomemi nam dębami—była to chwila zwyczajnéj przechadzki, wieczór, ale wietrzny, burzliwy, prawie chłodny; pomimo to Julia oparła się jak rozpieszczone dziecko i pociągnęła z sobą towarzyszkę w Dąbrowę. Nigdy jeszcze Julia nie była tak smutną i pomieszaną, ona, któréj wesołość i trzpiotowatość niczém dotąd pokonać się nie dały.

— Pamiętasz, mówiła — naszą rozmowę w tém miejscu, tego wieczora, kiedy piérwszy raz zastał nas tutaj.

— O! mogłażem ją zapomnieć — odpowiedziała Marya—to był jakby program twego życia, ale spodziewam się fałszywy, i ty dziś sama odstąpisz od niego.

— Nie — nie!

— Jakto? a nasza dzisiejsza ranna w ogrodzie rozmowa.

— Alboż jedno przeciwi się drugiemu?

— Wszakże biédne roztrzepane dziecię, jużeś mi się przyznała, że go kochasz.

— O! kocham go! z uczuciem zawołała Julia, kocham go! czuję — to mój piérwszy, to mój ostatni kochanek.

— A owe długie próby, owe —

— Poczekaj, to się dopiéro zacznie.

— Jakto, mówisz, że go kochasz, i będziesz miała siłę?

— Właśnie dla tego, że kocham; chcę tą drogą miłość moją tak ubezpieczyć, tak zapewnić sobie, że największe ofiary spełnię dla niéj. Ja wiem, że on mnie już kocha jak ja jego, lecz czy kochać będzie. czy stale? czy mogę rachować na niego — na wieki?

— Cóż w życiu trwa na wieki?

— Wiek, to póki życia, któż wié jak długie życie.

— A ty je tracić będziesz na próbach.

— Potrzeba!

— Powiedzże mi. wejrzenie, słowo i to nieopisane jakieś uczucie, co ci mówią, że on cię kocha, czyż nie dość jeszcze zapewniają?

— Nie dosyć, chcę wiedziéć czy miłość wytrzyma próby.

— Julio, ty go nie kochasz, tylko głową. Uraziła się Julia.— Nie wiem jak, to wiem, że ty zimna biédna istoto nigdy tak kochać nie będziesz nikogo.

— O! ja, odpowiedziała Marya, nigdy. nikogo!— i ciszéj powtórzyła raz jeszcze do siebie ze smutkiem —nigdy nikogo—a łzy kręciły się jéj w oczach.

Julia przeczuła więcéj, a raczéj usłyszała łzy te w głosie, niż je zobaczyła, i rzuciła się na szyję przyjaciółce z namiętnym zapałem: — Przepraszam cię! przepraszam. Biédnam ja! słowa nawet moje kaleczą, cóż dopiéro miłość moja — a! straszną jestem istotą—pożałuj mnie Maryo! tak przyjaźń moja dręczy, a miłość.....

— Może zabić — cicho powiedziała Marya—powiédz mi, prawdziweż to, szczerze mówiłaś o próbach, o doświadczeniu.

— Słuchaj, jam dziecię według was wszystkich, ale w sobie czuję, żem dorosła uczuciem i myślą miary, za którą nie przejdę.—Jestem uparta, mówicie, bo mam przekonanie własne; czego chcę, wiem, i gdy chcę, miéć muszę. Miłość jest wielkim celem mojego życia, ale nie taka jaką pospolicie widujem, nie uperfumowana, w glansowanych rękawiczkach i czarnym fraku — nie! — nie! Wszystkom gotowa jéj poświęcić, ale chcę żebym jéj stała za wszystko. Prezes mnie wydziedziczy, będę prawie ubogą — o to mniejsza, ale chcę być szczęśliwą i pewną, że ten komu się oddam, będzie prawdziwie tym, kogo oczekiwałam.

— Cóż cię zapewnia, że piérwszy, dla którego uderzyło twoje serce, jest tym oczekiwanym kochankiem.

— O! ja go kocham, ja to czuję! ale kochając drżę i boję się. Muszę nim mu powiem to, co mi z ust się napiéra być pewną, że i on kocha mnie całą duszą, całém sercem, że mi wszystko poświęci.

— Wszystko! są rzeczy, których nawet kochance człowiek poświęcić nie może.

— Tak, czci swéj, poczciwości, obowiązków świętych...—lecz siebie całego.

— Cóż myślisz?

— Nic, będę go męczyć, będę go probować.

— I na toś go pociągnęła, ułudziła.

— Żeby kochał i cierpiał. O! wierz ja mu to nagrodzę — nie będzie żałował...

Jeszcze szeptały między sobą, gdy Jan, któremu stary nie pozwolił być więcéj w Dąbrowéj, szukając sposobu widzenia Julii, przyjechał pod dęby w nadziei, że ją tam zobaczy i pożegna. Julia posłyszała tentent; Marya piérwsza domyśliła się kto jedzie, i nie chcąc doczekać nowego tajemnego widzenia się, starała się pociągnąć z sobą towarzyszkę do szybkiéj ucieczki. Stanowczo odpowiedziała jéj Julia:

— Nie pójdę.

— Zmiłuj się, ludzie co wszystko wiedzą, dowiedzą się o naszych przechadzkach, o tém że on tu bywa — i cóż powiedzą na ciebie, na mnie.

— Niech mówią co chcą, ja robię, com powinna.

— Ale ty właśnie tego robić niepowinnaś.

— Spuść się na mnie.

Jan już zsiadał z konia i witał.

— Teraz przekonywam się, zawołała Julia, że pan polubiłeś to miejsce jak my.

— Albo miejsce, albo — tych, których tu spotykam....

— Wiedziałam, że się na tym komplemencie skończy; strasznie oklepany!

— Przyznam się nawet pani, że na ten raz więcéj w nadziei, iż tu panie zastanę, niż w innéj jakiéj myśli jechałem.

— A! dziękujemy.

— Bo w Dąbrowéj być nie mogę, a jutro, lub dziś jeszcze może odjeżdżam.

— Pan już jedziesz? spytała Julia.

— Jutro, lub dziś nawet.

— Koniecznie? I patrzała mu w oczy, probując siły swego wzroku.

— A! koniecznie — koniecznie.

— Tak że ani uprosić, ani wstrzymać pana.

— Któżby prosił? ktoby wstrzymywał?

— A gdyby?

— O! nie można! smutnie rzekł Jan.

— Czyjaż wola, jeśli nie własna wypędza ztąd pana?

— Ojca mego.

— Przed tą schylamy głowę — chociaż powiem szczérze, szkoda nam pana. — W téj piaszczystéj i kamienistéj Litwie zapomnisz o wołyńskich znajomych?

— Ja — nie zapominam nigdy, co raz w życiu oceniłem, do czego.....

Nie śmiał dokończyć, spojrzeli na siebie.

— Jedźże pan z Bogiem! z udaną obojętnością rzekła Julia; a kiedy możemy go się spodziéwać?

— Za pół roku.

— A! tak prędko!

— Prędko? mówisz pani?

— Alboż powiedziałam?

Julia mówiła szybko z udaném trzpiotostwem i obojętnością, przez którą rozdrażnienie widać było. Jan smutnie:

— Cóż to dziś mamy?

— Piérwszy sierpnia.

Julia liczyła na palcach. — A więc zdaje mi się piérwszego lutego.

— Skończy się pół roku.

— W samym karnawale.

— Piérwszego więc, w sam ten dzień przystawisz się pan do Dąbrowéj?

— Każesz pani?

— Alboż mówiłam, że każę? nie — a — zresztą chcesz pan żebym kazała?

— Proszę —

— Więc każę.

— Piérwszego lutego będzie wielki tańcujący wieczór u babuni, będziemy mieli cały nasz świat — prezesa.

— I prezesa — spytał Jan.

— A naturalnie.

— I podkomorzynę, i pannę Matyldę.

Mówiła machinalnie, a wciąż nieubłaganym wzrokiem wléwała w serce Jana, drżące i już zbolałe, nową boleść, nowe żary, które go pół roku palić miały.

— Żebyś zaś pan nie zapomniał o przyrzeczeniu stawienia się za pół roku — ułamała gałąź dębową i i odrywając liść podała go — oto *zielone*, które nosić przy sobie proszę pana. Na piérwszy lutego, do piérwszego mazura pana zapraszam. — I jeszcze podała mu rękę *à l'anglaise*, dłonie ich zadrżały konwulsyjnie, wszystka krew, całe życie spłynęły w tę dłoń szczęśliwą, która jéj rączki dotknęła. I była chwila takiego uniesienia, że Julia nawet szyderski ust wyraz zmieniła; lecz to trwało oka mgnienie.

— Do zobaczenia.

Jan nic nie odpowiedział, w głowie mu się przewróciło, spojrzał na Julię smutnie, długo, na Maryę, co go żegnała milcząca, rzucił się na koń i uciekł.

— Możeż ona kochać? mówił w drodze do siebie, ona szydzi tylko — ona tak obojętna, tak zimna! Lecz jak dłoń jéj drżała w mojém ręku? Co mówiły jéj czarodziejskie oczy! O! biédna głowo moja, o biedne serce — co się z wami dzieje. Julia, Marya — obiedwie! Jedna— sam nie wiem, szaleję.

I zaciął siwego z całych sił, a Lebed szarpnął się do razów nieprzywykły i jak strzała go uniósł.

Gdy zniknął im z oczów, Julia padła na kanapkę.

— Zobaczęż go kiedy? spytała Maryi, nie odstręczyłażem go mojém trzpiotostwem? Co on myśli o mnie? Zechceż on powrócić? O Maryo, Maryo! ratuj mnie, serce mi pęka. A Marya kołysała ją i pocieszała jak mogła; choć biédna sama též potrzebowała pociechy, choć cierpiała daleko więcéj. Bo i ona go kochała, ale miłością bez nadziei, miłością, która podobna jest do stepu piaszczystego, gdzie nie ma końca, nie ma rosy, nie ma źródła. W górze słońce co zajść nie może, pod nogami fale piasku, i nic więcéj — nic więcéj. A ta miłość zrodzona nagle, odpychana, musiała pozostać na wieki w sercu, nie dojrzana oku, nie pocieszona niczém, nie osłodzona nigdy. Biédnéj sierocie i to cierpienie było szczęściem, bo kochać choćby bez jutra i przyszłości, zawsze jest najwyższém dobrem na ziemi. Jest to kielich goryczy, któren spragniony pije z roskoszą, bo wypiłby truciznę tak go spaliło pragnienie. Tak właśnie kochała w cichości Marya, któréj życie całe było pragnieniem, bez kropli rosy, bez ochłody..... która się nic nie spodziéwała tylko cierpień swych wzrostu, i tęsknéj śmierci sierocéj.

VI.

Pół roku minęło. — Lecz jakie postępy zrobiło uczucie w dwóch sercach, w trzech sercach, które dla siebie biły z daleka? Nie wiem czy kiedy psychologowie zastanawiali się nad chodem namiętności, któréj przedmiot jest daleki oczom ciała, a przytomny duszy tylko. A jednak szczególniejsze objawiają się tu symptomata. Wszystko co zasiewamy w dusznym świecie naszym, rośnie i olbrzymieje; — przedmiot przywiązania także idealizuje się w nas, uskrzydla i pięknieje; często także na jawie potém ujrzawszy go, dziwim się, iż tak nam zbrzydł i zmalał. Kochankom po długiém niewidzeniu, gdy się długo oczyma tylko duszy widzieli, spotkać się, zobaczyć, częstokroć niebezpieczna. Któż zrównać potrafi ideałowi wykarmionemu pragnieniami duszy?

Wygnaniec, co lat kilkadziesiąt ukochanego kąta obraz miał w sercu, wróciwszy doń, znajduje wszystko zmalałém, skarlałém, upadłém. I kochanek często po roku niewidzenia, ustroiwszy kochankę swą w myśli wszystkiém co mu jego ideały dostarczyły, dziwi się nie widząc w niéj tego, co się zobaczyć spodziewał. Ileż to razy tak się z ludźmi dzieje. — Przykre odczarowanie to trwa tylko chwilę — obraz idealny zaciéra się, niknie, porównanie staje się niepodobném i znowu radziśmy rzeczywistości.

A! w duszy ludzkiéj jakie jasne i wielkie życie. Ziarno co tam wpadnie, jak złocistym strzela kłosem, myśl posiana jak kwiecisto w niéj buja. Czémże ziemia z najkraśniejszą rzeczywistością swoją przy ideałach nadziemskich— ? —

Człowiek nie jeden sprawy sobie nie zdaje z tego przestrachu, jaki go obejmuje, gdy radośny, szczęśliwy wstępuje na próg, któren łzami wita—boi się— i nie wié, że lęka się, by złoty ideał duszy w proch się mu nie rozsypał. Z takich przemian składa się nasz żywot cały; żyjemy na wpół w kolebce ducha, pół na ziemi, w snach niebieskich i w pługu rzeczywistości, nieustannie walcząc co za prawdę uznać potrzeba, jedno czy drugie, sen czy jawę, blaski czy mroki, nadzieje czy zawody?

Był wieczór mroźny, wyiskrzony, jasny od śniegu i księżyca, jednéj z tych zim srogich, które nam po gorącém lecie przypominać się zdają, żeśmy północy mieszkańcy. Na niebie czarném księżyc błyszczący, gwiazdy migotliwe i mléczna droga jak złocista gaza jakiegoś uciekłego bóstwa. — Na ziemi białe śniegu zaspy gdzieniegdzie podnoszące się ścianami dziwacznemi i zataczające po drodze. — Głuche śmierci milczenie, wielki smentarz ziemia. Na białym całunie gdzieniegdzie sterczy jak krzyż na mogile, czarne drzewo, leży pasem las ciemny, dźwiga się szara budowla — migoczą pyły śniegowe, lśni się droga wyślizgana. Jeśliś kiedy zimą, w nocy, jechał pustym krajem, nie zadrżałeś czytelniku na widok świata, któren się zdaje wymarłym, bez życia? To wyiskrzenie śniegów i niebios, te milczące światełka migoczące ze wszystkich stron zdają się oczkami duchów, co pilnują mogiły. Przeciągły tylko przykry skrzyp sani, szelest gałęzi suchych i szum wichru słychać posępny. — Smutne myśli zabiegają do głowy i gnieżdżą się w tęskném sercu. Zdaje się, że z tych okow śmierci świat się już do nowéj wiosny wydobyć nie potrafi! Niewierzysz w promień słońca, co jednym błyskiem podołać ma zniszczeniu całéj téj straszliwéj budowy!

Maleńkie sanki skrzypiały po zmarzłych śniegach i posuwały się szybko, szybko ku oświetlonemu domowi.—W końcu długiéj ulicy jaśniały okna Dąbrowéj. Dziedziniec pełen był ludzi, pełen gwaru, liczne powozy zajeżdżały przed ganek, w sieniach sług pełno. Starościna dawała wieczór piérwszego lutego i całe sąsiedztwo było nań zaproszone. U drzwi salonu stała Julia z Maryą, obie w białych sukniach, z różowemi wstążkami. — A pod białemi ich sukienkami biły dwa serca niecierpliwością, oczekiwaniem, niepewnością, nadzieją. — Julia śmielsza co chwila szeptała na ucho Maryi:

— Czy przyjedzie? powiédz mi, droga Maryniu, czy przyjedzie?

— Nie wiem Julko! nie wiem. I za każdém drzwi otwarciem i niebieskie i czarne oczy zwracały się na nie.

Bo obie nie zapomniały Jana. Pół roku mieszkał w duszy ich, i miłość wzrastała nieobecnością, rosła, stawała się codzień gwałtowniejszą. Julia była nią upojona, marzyła rozkosznie—wierzyła w swą przyszłość; Marya karmiła się, by umrzéć bez nadziei — i bladła i smutniała. A kochały go obie.—Piérwsza więcéj głową, druga sercem więcéj, obie gwałtownie, i obie na wieki! Tak przynajmniéj mówiły sobie. Ale piérwsza nie taiła się z uczuciem, dzieliła się myślami, druga żyła w sobie zamknięta, czekając— rychło przyjdzie śmierć i wyzwolenie. Gdyby ją nawet kochał, co być nie mogło — mogłaż mu za czystą miłość jego oddać skalaną istotę, którą skaził roddech występku i pocałunek rozpusty?

Jeszcze Julia nie skończyła pytania, na które Maya odpowiedzieć nie miała czasu, gdy Jan wytwornie ubrany, z dębowym liściem u fraka zręcznie przypiętym, tak, że jego brzeżek wyglądał nakształt wstążeczki orderu ś. Huberta, wszedł poważnie do salonu. Julia zczerwieniła się jak róża, pulsa uderzyły jéj w skroniach, serce podniosło się gwałtownie — Marya zbladła jak ściana i oddech ściął się jéj w piersiach. Jan stał przed niemi.

— Dziś piérwszy lutego!—rzekł kłaniając się.

— Dziękuję panu za dotrzymanie słowa.

— A oto *zielone*, rzekł wskazując liść dębowy, cóż kiedy mimo największych starań zielone stało się prawie czarném! Czy wszystko tak się zmieniło? spytał.

— Liście nie ludzie — odpowiedziała Julia—liść schnie oderwany, człowiek wyrasta samotny!!

— Czyż liście nie dłużéj często są zielone dla nas od ludzi?

— Idź pan przywitaj babunię.—I wskazała mu ją, bo sama pomieszana z radości mówić nie mogła.

Starościna, dla któréj oka i serca nie było tajemnicą, więcéj domyśliła się niż poznała Jana; przyjęła go uprzejmie, spytała o ojca, o podróż, i dozwoliła mu odejść po chwili. Ledwie się odwrócił Jan, spotkał oko w oko — prezesa. W tłumie prezes miał się trochę na baczności, żeby głupstwa nie zrobić, zwłaszcza że od wnijścia poznał Jana i miał czas się wyburzyć; jednak — gdy się zetknęli, cofnął się sapiąc i stukając laską, groźném rzucił okiem na niego, zaciął usta sine, ruszył ramionami i uszedł. Jan tylko mu się ukłonił.

Nie będziemy opisywać ani tego wieczoru, ani mazura w którym Jan podbił całe żeńskie i część męzkiego towarzystwa, ani rozmowy urywanéj — jego z Julią i Maryą. Powiemy tylko, że Julia płacąc posłuszeństwo i nie myśląc jeszcze o swoich próbach, widocznie i tak widocznie, że wszyscy to postrzegli, Jana wyróżniła nad otaczającą ją młodzież.

W istocie zasługiwał na to, nie tylko powierzchownością odznaczającą się, ale swobodą obejścia, dowcipem, przytomnością, słowem wszystkiém co składa młodości życie, wdzięk młodego mężczyzny. Ci co najusilniéj zazdrościli mu, nie śmieli i nie mogli nic mu zarzucić. Wszystkich zaś najmocniéj dziwiło, zkąd młody ubogi człowiek wziął tak dobre wychowanie, ton i takt tak przyzwoity i tę śmiałość, którą tylko daje w świecie albo wielka wyższość umysłowa, albo wielkie bogactwo.

— Kaci go wiedzą — mówił zjadając gałkę od laski prezes—zkąd mu to wszystko? Tać to szerepetka, a minę ma pańską i tak pewny siebie ten intruz, jakby łaskę robił, że tu przyjechał. A przyjechało to pewnie na chłopskich sankach, w siwych barankach.

— Przepraszam pana prezesa—przerwał młody pan Kazimierz, krewniak podkomorzynéj, poprawiając kamizelki, którą miał na balu powiatowym— wysiadaliśmy razem. Przyjechał parą ślicznych karecianych koni, w czarnéj szubie, jakiéj jeszcze nie widziałem, niedźwiedzie, warte pewnie tysiąc rubli!

— To chyba gdzie ukradł, czy pożyczył, boć to hołysze.

— Oj! coś to nie wygląda na hołysza. Ktoś inny uważał, że ubranie Jana było tak wymyślne, wytworne i piękne, choć nie bijące w oczy, że mógł się w niém, bodaj w Paryżu pokazać.

— Prezes się wściekał. Podkomorzyna czmychała, nie śmiejąc jeszcze na to sobie dozwolić, ale przypuszczając, że gdyby Matylda, ze swemi nerwami podstarzała, możnaby ją z lichem wydać za Jana.

— Bardzo poważny! i bardzo przyzwoity!—mówiła sobie—szkoda tylko, że tak ubogi.

Nic bardziéj przylegającego do siebie nad młodzież, Jan łatwo ją sobie zaskarbić potrafił, poznał się z nią, spoufalił. Wszyscy już ku końcowi wieczora podawali mu dłonie jak staremu znajomemu. Jan bowiem nie był jednym z tych sztywnych automatów, co w jasnych rękawiczkach, palec jeden w kamizelkę włożywszy, przechadzają się po salonie; z każdym zrozumiéć się, sympatyzować, zbracić umiał. Wesół dziś, bo szczęśliwy, wkrótce stał się duszą zabawy i wziął na siebie jéj

kierunek. Dziwném szczęściem, nikt mu nie zazdrościł, nikt na to nie sarkał, wszyscy mu pomagali, czując w nim serce. Wieczór był ochoczy i przeleciał strzałą. Już dniało dobrze, a w lutym, jak wiemy, dnieje około szóstéj godziny, gdy się goście rozjeżdżać poczęli. Wszyscy młodzi ludzie z kolei żegnali Darskiego, prawie jednemi słowy:

— Bracie, nie zapomnijmy się, i kochaj mnie jeśli możesz.

— Darski bądź zdrów, pamiętaj żeśmy od dziś jak dwa palce dłoni.

— Czémże ich ujął?—spytacie.

O! naprzód sercem, które gdy bije w piersi, odpowiedzą mu inne; prostotą, szczerością, a w dodatku, gdy w chwilach spoczynku poszli na kielich wina i cygara, gdy rozbujane myśli lać się i szumiéć poczęły z szampanem, każde słowo Jana, którém wyrażał szlachetne i piękne uczucia, w piersi młodzieży znajdowało odgłos spółczucia. Często jeden wieczór taki, wiąże przyjaciół na całe życie. A jak się żyje w takiém uniesieniu szybko, żywo, jak wszystko, krew, myśl, przyjaźń, miłość, przyśpieszonym krąży biegiem. Cóż dziwnego, że po sześciu młodego uniesienia godzinach, jesteśmy jak po roku znajomości starzy? W połamanéj, porozrywanéj i co chwila rozdartéj i znowu wiązanéj rozmowie z Julią, gdy i ona i on porwani byli tą egzaltacyą, jakiéj każdy doznać musi wśród zabawy, ruchu, zgiełku, uroku muzyki i świateł, powiedzieli sobie więcéj, niż kiedykolwiek dotąd. Maryi już nie widział prawie Jan. Marya siedziała w kątku, tańcowała jak zmuszona, ślizgając się po posadzce, niby cień smutny; niekiedy tylko wejrzeniem objęła szczęśliwszych i — dumała. I ją otaczało grono młodych, i jéj szeptano słówka, co słodziéj niż muzyka brzmią w uszach kobiéty, lecz dla niéj był to szmer gałązek, szum wody, nic więcéj. Serce było gdzieindziéj.

— Panna Marya chora albo zakochana—mówiła młodzież.

— Panna Marya zawsze taka!—tłumaczyli inni.

— Ma suchoty!—dodał ktoś trzeci.

— Juściż podobniejsza do nich od panny Matyldy, która napróżno sentymentalnym kaszlem chce zwabić narzeczonego do tłustych swych wdzięków. Nie oszuka nikogo!

Dzień świtał, trzeba jechać było, Jan pożegnał Julię, która po cichu spytała go:

— Wszak się zobaczym?

— Możeż być inaczéj?—odpowiedział.

Jadąc do Dąbrowéj po nocy, nie wyrachował się Jan, że dniem powracać będzie i wziął śliczne petersburskie sanki i parę przepysznych koni, które mogły wydać tajemnicę jego majątku. Julia, która stała w oknie gdy odjeżdżał, postrzegła i zaprząg i ludzi wytwornie poubieranych i Jana, który musiał jéj się ukłonić, a wiedząc o ubóstwie Darskich, pojąć nie mogła, co znaczył ten kosztowny przybór Jana, który tak dalece wszystkim bił w oczy, że o koniach, pozostali mężczyzni długo potém mówili.

— To są resztki ich pięknéj dawnéj fortuny, zapewne—odezwała się podkomorzyna, która cóś zaczynała przewąchiwać, ale mając na myśli swatanie Matyldy, nie bardzo chciała rozgłaszać to, czego się już domyślała. Przyszło jéj na myśl, że przed pięciu laty rozeszła się była wieść o wielkim spadku na Darskich, ale że ojciec stary z kąta się swego nie ruszył, i życia nie zmienił, wzięli to wszyscy za bajkę.

Jan powrócił rozmarzony i szczęśliwy do domu. Julia padła na łóżko w swoim pokoiku, dłonią gorące przyciskając czoło, Marya modliła się.

Około południa starościna posłała po Julię. Znalazła ją wnuczka smutną i zamyśloną, prezes ze zwykłemi swemi groźbami tylko co był odszedł. Na widok wnuczki rozpłakała się staruszka.

— A to znowu prezesisko nieznośne!—zawołała Julia—o! przysięgam babuni, że to raz ostatni.

— Moje dziecko, nie rozpaczajże.

— Babciu—i Julka upadła jéj do nóg — zaklinam cię, zrób raz o co cię prosić będę.

— Ty wiész jak kocham ciebie, jakem słaba gdy o ciebie chodzi, nie proś mnie o nic strasznego!

— Nie! ale co mi każe moja godność i twoja. Zrzeczmy się testamentu prezesa i jego majątku, wynijdźmy raz z pod téj nieznośnéj, nieustannéj groźby, która nas poniża.

— Cóż poczniemy?

— Albożtak straszne ubóstwo? wszystko oddawszy mu, zostanie nam choć jeden folwark Dąbrowa i tego będzie nam dosyć. Tobie babciu na niczém nie zabraknie, twe życie na jedno ziarnko się nie zmieni; ja tych bogactw nie potrzebuję. One mi życie psują. Będęż mogła być pewną przywiązania mojego przyszłego, póki mi się zdawać może, że kocha we mnie lub ze mną pieniądze moje?

— Ty niewiedzieć co pleciesz.

— Babciu — napastliwie powtórzyła ze łzami Julia—jeżeli mnie kochasz, ja cię o to błagam. Ja wiem ile ci przykre obejście i panowanie prezesa; cierpisz to dla mnie, ja cierpię go tylko dla ciebie. Wolna, zrzekłabym się w jedném mgnieniu oka i jego zapisów i jego groźb. Uczyń to dla mnie.

— A! to prawda! —zawołała starościna, że bylibyśmy wolne!

— Więc pozwalasz na to?

— I tybyś się wyrzekła wszystkiego?

— Z radością, z uniesieniem, z wdzięcznością.

— Ale cóż poczniemy?

— Ja mu to powiem.

— Dziecko! ty go śmiertelnie obrazisz.

— Babciu, jak cię kocham, a to największe zaklęcie, zaręczam ci, że będę rozumną, że będę grzeczną, skończmy raz to życie niepewności.

— Ty sama chcesz tego, i nie boisz się?

— Czego?

— Ubóstwa.

— O! to szczęście! poznamy kto nas szczerze kocha, a ubóstwo, gdy nam zostaje czysta i własna Dąbrowa, ze swym ogródkiem i kwiatami, to szczęście!

I wybiegła swobodna, śpiewając, szukać prezesa. Babka się modliła i płakała, wyrzucając sobie, że tak łatwo pozwoliła na zrzeczenie się milionowéj fortuny. Szczęściem trafiła w książce nabożnéj na godzinki do Opatrzności, i w nich, jakby ręką losu wskazaną umyślnie, wyczytała pociechę.

Tymczasem Julia szła do salonu, gdzie prezes żółty, kwaśny, zły, gderzący, czytał Kuryera i dławił się nim i bułką. Usiadła naprzeciw niego, ten zmierzył ją okiem ponurém.

— A co, natańcowałaś się?

— O! wyborniesmy się bawiły. Niczby mi nie brakło, gdybym co trzeci dzień nie widziała babci we łzach.

Prezes ruszył ramionami.

— A któż winien jéj, że płacze.

— Nie wiem, ale wiem, że jéj łzy na moją duszę padają, jak rozpalony żar.

— Ślicznie panna mówi; to starajże się pocieszyć babunię.

— Właśnie myślę o tém, jak raz na zawsze łzy jéj otrzéć.

Prezes burknął coś pod nosem.

— No? i znalazłaś panna sposób?

— Zdaje mi się.

— Ciekawym.

Julia milczała, nie chciała sama zaczynać.

— Panience wesoło na świecie, chciałoby się, żeby jéj i starzy dopomagali.

— Czemuż mnie i im dobrze i wesoło być nie ma?

— A zapewne! —

Znowu milczenie chwilowe; prezes, który się burzył Darskim, a widząc na wieczorze jak się wszystkim podobał, jak Julii nadskakiwał, podwójnie go nienawidził; nie mógł daléj wytrzymać.

— Czego się tu ten Darski wasz kręci?

— Co pan prezes mówi?

— Niby panna nie słyszy!

— Słyszę, ale zrozumiéć nie mogę. Babunia go przyjmuje, któż mu może wstępu do domu zabronić?

— Kto? a gdyby ja?

— Proszę pana prezesa, a jakiémże to prawem?

— Prawem! patrzajcie ją!— Stuknął laską — co to panna ze mną prawować się myślisz? Do stu katów! panna wiész, że co masz to z mojéj łaski, co miéć możesz to moje tylko!

— Niechże będzie prezesa — zawołała Julia wstając poważnie. — Wiém, że reszta majątku, prócz Dąbrowy, obciążona jest długami p. starosty, nieboszczyka dziada; że mój wielki majątek, o którym tyle mówisz, winna być mam panu prezesowi; lecz jeśli swoje dobrodziejstwa dla nas, każesz babce płacić łzami, mnie niewolą, my się zrzekamy wszystkiego.

Prezes osłupiał i słowa rzec z razu nie mógł.

— A bardzo dobrze! a bardzo dobrze!—zakrzyczał wywracając krzesło, stół, filiżanki i wstając nagle—powiem to starościnie.

— Starościna wié o tém i zgadza się na to.

Nie można odmalować złości, gniewu, wściekłości człowieka, który zwykły do despotycznéj władzy nad tém, co go otaczało, ufny w swoje skarby, sądził, że niemi panować będzie gdzie zechce.

— Zostaniecie przy Dąbrowéj! — zawołał—zostaniecie, ale ani mnie więcéj, ani złamanego fenika nie ujrzycie.

To powiedziawszy wyszedł do sieni, kazał podawać konie, wybił dwóch służących i trzęsąc się odjechał. Chwila jedna zmieniła całe położenie Julii i jéj stanowisko na świecie. Miliony jéj stopniały, rozżarty prezes przenosił swe panowanie, zapisy i dziwactwa do podkomorzynéj i Matyldy. W kilku dniach z pośpiechem gniewu zagarnął wszystkie majętności starosty, i na jednéj niewielkiéj wioseczce i folwarczku pozostała babka i wnuczka. Pojęły obie, że życie ich zmienić się było powinno, ale Julia nie dozwoliła, aby babka w najmniejszéj rzeczy ucierpiéć na tém miała i poczuć nawet odmianę. Sama zajęła się domem i szczęśliwa bo swobodna, otoczyła ukochaną babkę tysiącem pieszczot i starań. Po sąsiedztwie jak uderzenie gromu rozeszła się wieść dziwna, że prezes skasował testament, odebrał majątki starościnie i wszystko przekazał Matyldzie. Matylda nagle kaszlać przestała, była i tak już pewna, że za mąż pójdzie, bo roje młodzieży obległy dom podkomorzynéj, przestała pić ocet i śmiejąc się, pokazywała swobodnie dosyć białe ząbki, ukrywane nazbyt długo. Wszyscy mężczyzni znajdowali, że panna Tysia wcale już hoża, bardzo miła i ładna. Pokazało się nawet, że choć trochę utyła, ale była za to białą i rumianą, a oczy miała pełne wyrazu. Wyrazem tym były krocie i miliony prezesa. Czego nigdy nie bywało dawniéj, Tysia poczynała z fałszywym śpiewem popisywać się publicznie, i godzili się na to znawcy, że choć bez metody i szkoły, śpiéwa bardzo przyjemnie. Podkomorzyna roiła, była szczęśliwą. Do ustronnéj nawet Jarowiny, przez przybywającą tu teraz młodzież, doszła do Jana i ojca jego wiadomość, o zubożeniu Julii. Oba uradowali się niezmiernie, a Jan pospieszył teraz natychmiast do domu starościnéj. Nie myśląc daléj kryć się ze swoją zamożnością, wybrał się jak najparadniéj. Cztery prześliczne konie rosłe ciągnęły lekkie saneczki, uprząż na nich była angielska i przy angielskiéj skromności piękna i smakowna; pokrywały grzbiety gniadoszów cztery skóry lamparcie. Dwóch ludzi w jednostajném czarném ubraniu towarzyszyli Janowi. Gdy zajeżdżał przed ganek, Julia widziała, ale nie domyśliła się zbałamucona końmi i uprzężą, ktoby mógł być taki. Jan zastał ją z książką w ręku samą jednę.

— A, to pan — zawołała zadziwiona — choć jeden nie zapomniał o nas?

— Dla czegóż mnie pani posądzasz nawet o to?

— Bo — bo — bo drudzy...

— Ja nie należę do drugich.

— Wszędzie chcesz być piérwszym?—zażartowała ze zwykłą swoją wesołością.

— Tam gdzie być można piérwszym i ostatnim.

— Zagadka—nie rozumiem zagadek.

— Jakże się ma starościna?

— Zdrowa, ale w zimie nie wychodzi prawie ze swego pokoju.

— Mogęż być u niéj?

— Dla czegóż nie, będzie mu rada, chodźmy.

Zastali staruszkę nad książką i modlitwą; modliła się zwykle dzień cały, a potajemnie płakała, nie pokazując łez wnuczce; więcéj wyobrażenie ubóstwa i poniżenie, niż ubóstwo same, które się jéj czuć nie dawało, dotykały staruszkę. Przywitała uprzejmie Darskiego. Teraz każde odwiedziny ją cieszyły, bała się być opuszczoną biédna, i dzień bez gości był dla niéj smutniejszy niż kiedy. Jan począł żywo mówić o dawnych czasach, żeby w wspomnienia wprowadzić staruszkę i jakoś mu się to udało. Rozdobruchała się, rozgadała, ale w końcu nie mogąc zapomniéć straty świeżéj majątku, którego nie dla siebie, ale dla wnuczki żal jéj było, dodała z westchnieniem:

— Pan wiész, że nam pozostała tylko jedna Dąbrowa.

— Wiem pani.

— I dziś prawieśmy ubodzy.

Julia przerwała wesoło:

— O co to, to nie! cóż to mnie babunia za nic sobie liczy?

— Tyś to téż mój skarb jedyny.

— No, więc cicho babciu.

Jan się uśmiechnął tylko.

— A panu życzę—dodała figlarnie Julia—sprobować szczęścia u podkomorzynéj. Panna Matylda będzie miała jeden milion na banku, Siwicze, Romejki, Bityn, Hlasne, Zawojówkę i Mateczne. Nie licząc tego, co ma z siebie:

— To jest, kaszlu—dodał Jan.

Oboje rozśmieli się serdecznie.

— A co ja, to powiadam, że wyśmienicie być

ubogim—zawołała Julia.—Naprzód, choć to wszyscy wiedzą, ubóstwo jest próbą naszych przyjaciół, jest odstręczeniem natrętów, jest naszéj wartości wewnętrznéj próbą także najlepszą. Tysiące nieocenionych korzyści.

Marya nadeszła, a że starościna długo z gośćmi siedziéć nie była przywykła, panny i Jan wyszli do salonu. Długo tu siedzieli, rozmawiali, grali i bawili się nawet trochę po dziecinnemu. Zakochani lubią być dziećmi. Marya wcale nie była na zawadzie, ona po większéj części, jak konieczny tylko świadek, siedziała w kątku z myślami swemi.

Dotąd między Julią a Janem, miłość wzrastająca codzień, widocznie dla oczu ludzkich, im obojgu wiadoma, nie wyszła jeszcze wyznaniem przez usta. Ale ten moment stanowczy zbliżał się. Wypowiedzenie miłości, jest początkiem drugiéj w niéj epoki, która ma właściwy sobie charakter. Piérwsza karmi się więcéj ideałami i nadzieją, myśli dwóch istot blizko siebie, ale nie sprzężone jeszcze latają; w drugiéj starają się zrównać, spoić, związać i idą w rozkosznym uścisku ku dalekiemu jeszcze, ale już świtającemu szczęściu. Cóż, gdy to szczęście, ten cel, jak wszystko najróżowiéj się śmieje, dopóki niedoścignione, dalekie!—

Już zmierzchało, a kochankowie siedzieli jeszcze u stołu przy kanapie, trochę oddaleni od siebie, ale co chwila niewiedziéć jakim przypadkiem zbliżając się powoli. Jan opowiadał o swoich podróżach. Julia żartowała, ale w głosie jéj słychać było wzruszenie i bojaźń poprzedzającą zawsze wielką życia chwilę. Marya przebierała od niechcenia po klawiszach fortepianu, żeby rozmowy nie słyszéć, twarz jéj blada na policzkach, dwojgiem rumieńców gorączkowych zapaloną była.

— Podróż—mówił Jan do Julii — jak wszystko w życiu najrozkoszniejsze, gdyśmy nie sami. Widzę, i myśli, które we mnie widok budzi, nie mam z kim podzielić, serce mi bije, a nie mam czyjéj dłoni położyć na niém z zapytaniem: a twoje? Często największe rozkoszne wzruszenie kończy się smutkiem i myślą bolesną. Czemużem sam jeden! Lecz jak w podróży, nie także w życiu całém?

— Może— cicho odpowiedziała Julia — ale jak często dwoje ludzi, z których jeden drugiego ciągnie przeciw woli, podobni są tym psom gończym, których kiedyś w dziedzińcu widziałam na sforze.

— Wówczas gdy ręka obca ich zwiąże, lecz jeśli sami dobrowolnie się znajdą, zbliżą, powiążą? Nie sfora, ale serce łączyć ich powinno!

— A na długoż wiąże serce?

— Czasem—na zawsze.

— Tak, ale tylko—czasem. I możnaż kiedy być pewnym, że to co obiecuje być *zawsze*, nie potrwa nad chwilę?—Jan zamilkł.

— Co do mnie—mówiła Julia bawiąc się książką, którą wzięła machinalnie — tam, gdzieby chodziło o moją przyszłość całą, byłabym trudną, bardzo trudną, chciałabym upewnić się, obwarować, żeby jéj nie stracić; chciałabym nie rzucić jéj na pastwę losowi...

— Nie wierzę pani—rzekł Jan—przyszłości nie oddałabyś pani bez uczucia, a uczucie nigdy tak nie rachuje i nie rozumuje; bo uczucie jest niemylne jak instynkt, rachuba fałszywą być może; instynkt ów serca, nigdy.

— Mylisz się pan, gwałtowne uczucie ma swój właściwy rachunek; ono się lęka zdrady i bojaźliwe zewsząd od niéj zastrzega.

— Uczucie wielkie nie przypuszcza jéj, samo będąc gwałtowne, w swojém świetle, w swojéj barwie widzi wszystko, poświęca się i łatwowierność jest dowodem może jego potęgi.

— O! nie! nie. Na to nie pozwalam — odpowiedziała Julia—to byłby już szał, a szał jest chwilowy tylko. Uczucie wieczne musi się budować na—wieczność. Czyni to instynktowo, rozumem serca.

Jan wziął powoli rękę Julii, która mu jéj nie broniła, serca ich uderzyły od magnetycznego związku.

— O! nie, nie—rzekł cicho—pani nie potrafiłabyś być tak srogą, tak ciężką dla tego, coby ci życie poświęcił; nie psułabyś sobie niewiarą chwil drogich, niepowrotnych!

— Dla siebie i dla niego, musiałabym—odparła Julia.

— Co za niewiara!

— Dla czegóż tyle zawodów na świecie?

Drżenie ich głosu, cichsze wyrazy, zbliżenie ku sobie i ściśnięcie sobie dłoni długie, mówiące jak myśli, przerwało na chwilę rozmowę, któréj słów dosłyszéć nie mógł nikt, prócz nich samych.

— Julio! ja cię kocham!—głośniéj trochę i z uczuciem wyrzekł nareszcie Jan.

— Wiém o tém—odpowiedziała — wiém o tém, i— nie będę panu—tobie — nie będę ukrywać, na cóż kłamać? ja kocham cię także.

Jan pomimo przytomności Maryi, zapomniawszy się padł na kolana.

— Na Boga! co robisz... wstań!

Jan usiadł znowu.

— A! takie szczęście to nad siły ludzkie, oszaleję—zawołał.—Ty mnie kochasz i pozwalasz mieć nadzieję, że będziesz moją, moją na zawsze.

— Słuchaj, słuchaj, nigdy w życiu nie kochałam nawet myślą, nawet wyobraźnią, które zawcześnie w kobiécie się budzą. Raz mogę kochać, ale na zawsze. I chcę żeby moja miłość była życiem całém, żeby ten kogo wybieram, był mój, mój, mój tylko, żebym go była pewną jak siebie, żeby nic nas rozłączyć nie mogło.

— Wątpisz o mnie!

— Kocham i lękam się.

— Julio, ty nie wiész co w sercu tém się dzieje.

— Dzisiaj, lecz jutro?

— Jestże jakie jutro!

— A! gdyby życie mogło być jednym wielkim dniem bez jutra, wiecznością bez zmiany. Lecz wszystko się zmienia; jakaż przysięga, jakie zaklęcie może odegnać moją bojaźń?

— Ty mi nie wierzysz!—powtórzył Jan.

— Ja kocham cię! — powtórzyła Julia, któréj rękę całował Jan z zapałem— o wierz mi, kocham piérwszy raz—i ostatni. Nie mogę oddać jedynego skarbu, serca, nie będąc przekonaną, że je złożę na piersi co mnie nie zdradzi nigdy.

— Lecz jakże przekonam cię, że jestem twój, i twój tylko na zawsze?

— Posłuszeństwem bez granic.

— Julio! możeszże wątpić o tém?

— Chcę być pewną ciebie.

— A nie jesteś?

— Nie, kobiéta, boję się, boję; serce mi się ściska, gdy myślę o przyszłości.

— Cóż mogę na to poradzić?

— Zamknąć oczy i ślepo spełnić co powiem.

— O! mój Boże, ona mi nie wierzy!—z boleścią zawołał Jan. Lecz jakiegoż chcesz dowodu, jakiéj pewności? wszystko zrobię.

— Pojedziesz na rok cały i nie będziemy się widzieli.

— Julio, rok cały, to wieczność; rok młodości, to skarb bez ceny, rok życia stracony, gdy szczęście przed nami.

— Lepiéj rok stracić niż życie!— zawołała żywo. — Nigdy już nie mogę być szczęśliwą, chyba z tobą, lecz nad nieszczęście we dwoje, wolę samotną śmierć powolną. Dla tego nim będę twoją, chcę wiedzieć, żeś mój na zawsze. Tak, jeszcze rok próby, i to nie ostatnia.

— Jakto? jeszcze ci dosyć nie będzie.

— Dosyć — nie! nie dosyć!

Jan upadł na krzesło.

— Rok cały!—powtarzał.

— Rok, ale na ten rok daję ci pokarm Janie — odpowiedziała śmiało Julia.— Jeśli jedno uczucie, jedna myśl cię wyżywi, wrócisz i...

— I pozwolisz mi naówczas?

— Naówczas zobaczę.

— Julio! na cóż mi powiedziałaś to zwodnicze słowo, kocham!

— Ja tak kocham!

— Każesz, będę posłuszny, ale co wycierpię.

— Wszystko się płaci cierpieniem, a jaż cierpiéć nie będę?

— Niepojęta!

— Niecierpliwy!

— I kiedyż ten nieszczęśliwy rok ma się rozpocząć?

— Od jutra!

— Zlituj się, od jutra! jakto, jutro miałbym porzucić cię i nie widzieć znowu, po dzisiejszym dniu który jest najszczęśliwszym mego życia.

Julia zamilkła... Jan ręką gorące chłodził czoło.

Cały długi wieczór upłynął na podobnéj rozmowie, teraz najrozkoszniejszéj; bo rozkutéj z tych form, które ją przed chwilą ścieśniały. Raz powiedziawszy *kocham*, stali się jak brat i siostra, nie mieli tajemnic, nie potrzebowali myśli swéj osłaniać i mówić dwuznacznikami. Julia z gwałtownością sobie właściwą, którą nie jednéj kobiécie za złe by wziął mniéj zakochany, a miałkiego umysłu człowiek, nie taiła ani przywiązania swego, ani myśli, nie drożyła się z wypowiedzeniem tego co czuła, nie cedziła z niepewnością i bojaźnią tego co rzeką wezbraną lało się z jéj serca. Jan był w uniesieniu.

A Marya? Marya siedziała przy fortepianie, niekiedy jéj oczy podniosły się na parę szczęśliwą, i znów opadły ku ziemi. Ona słyszała wszystko, a więcéj domyślała się... serce się jéj ściskało, oddech tamował, a przy wielkiéj boleści, była rozkosz tajemna, niepojęta w tém cierpieniu, o którém nikt nie wiedział, nikt się go nie domyślał, którego uleczyć nic nie mogło, chyba—śmierć.

W zapale opowiadania, Julia wyznała Janowi, zkąd poszedł piérwszy gniew prezesa i zupełne z nim i nadzieją zapisów jego rozstanie. To było powodem wyznania Darskiemu, że nie potrzebowali majątku, którego on miał dosyć. Julia chmurna odskoczyła od niego.

— Jesteś więc bogaty?—spytała — zdradzałeś mnie nic o tém nie mówiąc, probowałeś mnie także! I chcesz żebym ja nie poddała cię próbie! Bogaty jesteś! ha!

— Dość dla nas obojga.

— Czemuż o tém nie wiedziałam dotąd?

— Nikt mnie nie pytał. Chcesz próby, oto już piérwsza próba, pokochałem cię panią; kocham cię dziś więcéj jeszcze, jeśli to być może.

— O to, to żadna próba! — odparła dziewczyna — Jesteś bogaty, możesz się obejść bez moich pieniędzy. A ja—dodała — ja wolałabym cię ubogim. Często, wielkie uczucie miłości rozbija się o mizerną rachubę powszedniego chleba...

— Ale nie takie jak moje.

— Swojego nie znasz...

— Julio! Julio! tak młoda, a już tak niedowierzająca! Godziż się to?

— Wszystko się godzi dla spełnienia ideału mojego. Moim ideałem szczęście nasze, ale nie szczęście chwili, co się budzi rozczarowaniem! nie! ja takiego nie chcę.

Jan nic nie odpowiedział, była niepokonaną.

Późno już było, gdy pożegnał Julię i Maryę, starościnéj widzieć już nie mógł. Julia podała mu rękę i z uczuciem rzekła:

— A więc na rok cały się żegnamy, rok próby, po roku czekam cię Janie, tu w naszéj cichéj Dąbrowie; zastaniesz mnie, jaką porzucasz dzisiaj, zawsze ci wierną, i na zawsze twoją.

Jan nie znalazł na ustach, ani w sercu odpowiedzi, rok ten przestraszał go, jak nieprzeżyta wieczność. Ona go kochała i odpychała od siebie! Pojechał. A gdy Marya sam na sam została z Julią, gdy szczebiotliwe dziecko pragnąc podwoić swoje uczucie, dzielić się niém poczęło z przyjaciołką, z westchnieniem rzekła jéj Marya:

— Na co te próby, Julio kochana? serce ci mówić powinno czy on cię kocha, stawisz na kartę całe życie swoje. Ja nie miałabym siły, wolałabym późniéj nieszczęście, niż dziś tak chłodną krwią zadawane męczeństwo. Ciebie i jego, żal mi was obojga!

VII.

Jan nie mogąc przesiedzieć tego roku daleko od Julii, pozostał u ojca. Zdawało mu się, że bliżéj jéj będąc, łatwiéj wytrzyma rok próby. Siedział smutny, chory w Jarowinie, błąkał się po otaczających lasach, lecz posłuszny woli Julii, nigdy nawet nie poszedł odwiedzić ławki pod dębami, chyba nocą. Nieraz widział zdaleka powóz, którym jechała Julia, nieraz mignęła mu się biała jéj suknia, a ludzie opłaceni donosili mu z najdrobniejszemi szczegółami, co się działo w Dąbrowie. Julia myślała, że był w Litwie.

Tymczasem prezes, przy swojém sknérstwie dziwaczny, przeniosłszy panowanie do domu podkomorzynéj, nie bardzo był rad nowéj swojéj dziedziczce, któréj widocznie nie lubił. Ciągłe wymagania pomocy pieniężnych robione w różny sposób przez podkomorzynę, niecierpliwiły go i gniewały. Łajał podkomorzynę, bił jéj służących, a Matyldzie, któréj sentymentalnych tonów nie cierpiał, dogryzał najbardziéj. Wszystko w niéj mu się nie podobało. Pewny, że go tu nie pożegnają zrzeczeniem się jego fortuny, jak w Dąbrowéj, pozwalał sobie co mu na myśl przyszło. W ostatku ulubionego bardzo pannie Matyldzie młodego, pięknego i wcale do rzeczy, ale zupełnie ubogiego starającego się—odpędził bez żadnéj innéj przyczyny nad to, że był ubogi.

Naprożno się starano go uprosić, pokonać, wymodlić pozwolenie, prezes im bardziéj naglony, upierał się coraz mocniéj. Trzeba było wypowiedzieć dom panu Tadeuszowi, a na jego miejsce sam prezes wprowadził ślepego wprawdzie na jedno oko i głupiego w najoryginalniejszy sposób, ale bogatego pana Safetycza.

Safetycz był głupcem rozumnym — niezmiernie wiele zjadł książek, bardzo dobrą miał pamięć, ale to było najograniczeńsze w świecie stworzenie.

Świata, ludzi, siebie nie rozumiał, wszyscy szydzili z niego, on wszystko brał za dobrą monetę. Naprowadzony na uczoną materyę, sypał jak z rękawa wiadomości połamane, poduszone, które w jego mózgownicy jak w magazynie ciemnym i wilgotnym upakowane leżały. Starając się o Matyldę, cytował wszystko co czytał o miłości, czując tego potrzebę, i najnaiwniéj w świecie przyznawał się, że wielu rzeczy zrozumieć nigdy nie mógł. Tysia bała się go jak ognia, gdyż ją przygniatał swoją erudycyą; podkomorzyna ziewała na samo wejrzenie na Safetycza, jeden prezes silnie sprawę jego popiérał. Prawda że był bogaty i skąpy. W sąsiedztwie nikt cierpieć go nie mógł; nie było bowiem dokuczliwszego sąsiada, nudniejszego gościa, nieubłagańszego processowicza. Wszystko robił z flegmą, z krwią chłodną, powoli, regularnie, ale z zabójczą nieczułością machiny. Przemówić do uczucia jego było niepodobna, bo go nie miał i nie pojmował w drugich. Matylda płakała, podkomorzyna pocieszała ją jak mogła i znosiła, prezes naglił.

Safetycz się nareście, cytując mnóstwo pięknych rzeczy, oświadczył matce i pannie. Matka odesłała go do panny, panna odesłała do matki. Ale gdy przyszło dać stanowcze słowo a prezes stukał kijem wymagając końca, Tysia na prawdę zachorowała, schudła i rzuciwszy się do nóg matce, powiedziała: że umrze, jeśli ją za Safetycza wydadzą.

Burza się zbiérała. — Prezes poczynał żółknąć i gniewać się. Safetycz cytował różne wypadki miłosne ze starych romansów. Podkomorzyna desperowała, Tysia była nieubłagana. Młody jéj ubogi pretendent tajemnie listami podsycał opór i doléwał oliwy do ognia. Zwlekano od dnia do dnia, od tygodnia do tygodnia i końca nie było. Tymczasem prezes, który z oka nie tracił Dąbrowéj, dla samego gniewu swego na starościnę i jéj wnuczkę, śledząc co się tam dzieje, odebrał pewną wiadomość, że Darski, który się ledwie był tam pokazał, od roku nie bywał.

— A więc odprawiony z kwitkiem! rzekł w duchu i namyślając się głęboko.

W tém jednego rana ekonom z folwarku Bityna wpadł z wiadomością do prezesa, że w nocy panna Tysia zniknęła. — Pan Tadeusz ją wykradł.

Prezes kazał zaprzęgać konie, stukał, bił, łajał, piechoto poszedł nie doczekawszy się bryczki i przybywszy do podkomorzynéj, którą we łzach zastał, począł od najdzikszych wyrzutów, które serce matki krwawiły. Podkomorzyna, która po macierzyńsku kochała córkę, bolała nad jéj stratą, i w usposobieniu w jakiém była, z zimną krwią słuchać nie mogła łajań prezesa, rzuciła mu w oczy wyrzeczeniem się wszystkiego, co im obiecywał.

— Nie chcemy nic! zostaw nas pan spokojnych! I rozpłakała się i rozchorowała na serce. Prezes odjechał w najsroższym gniewie; i tak zerwały się stosunki jego z podkomorzyną, upadła nadzieja wielkich bogactw, a pan Tadeusz został przy posiadaniu Tysi, która całkiem wyzdrowiała. Państwo młodzi przenieśli się do matki, gdyż pan młody nie miał tylko małą dzierżawę, która mu się kończyła.

Całe sąsiedztwo przeczuwać zaczynało, że prędzéj, późniéj, prezes zwróci się znów do Dąbrowéj. Nie wiedział co z sobą począć, a nie mając gdzie panować, nudził się aż do choroby. — Łając i odgrażając się zaczynał już pożyczać zboża i różnych rzeczy żądać w Dąbrowie, co było u niego znakiem najwyższéj łaski. Starościna nie odmawiała niczego. Sknéra brał i nie oddawał, rządził się, łajał, ale coraz bliżéj krążył około Dąbrowy, do któréj jednak zajechać jeszcze nie śmiał. Nareszcie raniuteńko na ś. Annę, w dzień imienin staruszki, gdy jeszcze nikogo z gości nie było, pokazał się na ganku. Przyjęto go jak krewnego, jak znajomego, jak gościa. Trochę był tego dnia mniéj żółty i udawał wesołego, ofiarował starościnie na wiązanie pudełeczko z kory brzozowéj, Julię powitał po dawnemu i zainstalował się znowu, jakby nigdy nic nie zaszło między nim a tym domem.

Po sąsiedztwie gruchnęła wieść znowu, że prezes pojednał się ze starościną, że Julii wracają nadzieje ogromnych jego zapisów. Matylda, któréj sto tysięcy po najdłuższém życiu swojém, trochę przejednany rzucił prezes prawie ze wzgardą, nic już się po nim spodziewać nie mogła; bliższych krewnych nie miał.

Bogata panna na wydaniu!! — wołali wszyscy na mil kilkanaście do koła.—Co było gołych paniczów, zadłużonych ojców, matek troskliwych i krewnych ubogich, wszystko to młodą armię pretendentów wysyłało znowu do Dąbrowy. — Nie będziemy wam opisywali gromady starających się, która Julię obległa, a w któréj niepoślednią téż rolę z własnego instynktu grał Safetycz. Prezes już go tu wprowadzić nie śmiał — dla Julii, mówił, trzeba cos pozorniejszego. Julia zaś znajdując rozrywkę w głupstwie uczoném Safetycza, najlepiéj go ze wszystkich przyjmowała. Śmiała się z niego, a on był najpewniejszy, że go kocha i cytował już nawet Anakreonta. Między starającymi się, odznaczał książę W— któremu imie Henryka (był VI. Henrykiem w familii) nadano na chrzcie, jako przyszłéj głowie rodziny.

Pomimo wad, które szczepi pospolicie w sercu i umyśle panów i paniczów niedorzeczne wychowanie, co od dzieciństwa wskazuje im, że są czémś wyższém nad lud pospolity i do szczególnych losów stworzonymi, Henryk był wcale przyzwoitym młodzieńcem, mogącym bardzo podobać się kobiécie. Wady jego leżały na dnie ukryte starannie, nie była pora popisywać się z niemi — udawał więc człowieka popularnego prawie, bracił się z młodzieżą chętnie, nie nastawiał tytułem i nie pluł herbami. Młodzież, która niesłychanie ceni przystęp do jaśnie oświeconych, gdy ci nie kąsają tylko, otoczyła go z zapałem przekonawszy się, że nawet gła szcze. Henryk był bożyszczem młodzieży i powszechnie uważanym za okrasę towarzystw. Dowcipny (rodem kury czubate), zręczny, dobrze ułożony, dość oczytany na tych książkach, w których potrosze wszystkiego nauczyć się można, doskonały strzelec, wyborny tancerz, gracz z krwią chłodną, do kielicha gotów choć o północy, przy kobiétach przyzwoicie śmiały, koniarz jak berdyczowscy żydzi, birbant międzybirbantami, poważny ze starymi, polityk nawet, gdy było potrzeba— Książę nie na jednéj grał strunie jak widzimy. Przytém twarzyczkę miał, któréj bródka jasna wiele dodawała wdzięku, oczy niebieskie melancholiczne, rękę kobiécéj piękności, zęby jak z kości słoniowéj. Nie bogaty, nie był też ubogim, ale jadły go żydowskie i nie żydowskie długi, ten trąd naszych prowincyj. Potrzebował się koniecznie bogato ożenić. Dom jego na pańskiéj stopie utrzymywał się kredytem cały, ale niemniéj wspaniale. Już widzicie jak przywieziono księcia Henryka do Dąbrowéj, jak Julia obojętném zmierzyła go okiem, jak po kilkogodzinnéj rozmowie nie mogła nie wyznać, że to był bardzo przyzwoity młody człowiek. Un jeune homme très comme il faut. Starościnie w najwyższym stopniu pochlebił tytuł książęcy!

wszyscyśmy słabi, niestety—zdaje się nam, że mitra mieć będzie jakieś szczególne prawa i na drugim świecie.—Prezes żartując z golizny jaśnie oświeconych, poszłéj już w przysłowie, bo w tamtéj okolicy mawiano czasem: — Goły jak książę; — prezes nie zupełnie był wolny od próżności. — I jemu pochlebiało to księstwo, z którego żartował. — Julia na podziw Maryi, babce i wielu innym, zwykle bardzo zimno i odstręczająco przyjmując i odprawiając przybywających, tego bardzo grzecznie, prawie pociągającym sposobem przyjęła, i książę począł bywać dość często w Dąbrowie. Julia traktowała go żartobliwie, grzecznie, ale nie odbierając mu wcale nadziei. Wprawdzie nie pozwalała mu bardzo się zbliżyć do siebie, unikała dwuznacznych wyznań, nie chciała rozumiéć półsłówek, ale to wyglądało raczéj jako zwłoka, niż jako odprawa.

A gdy Marya pytała jéj z podziwieniem, dla czego księcia pana trzyma na uwięzi? Julia, która myśl jakąś miała i rachunek, odpowiadała jéj: — Zobaczysz—ja nic nie robię bez celu.

— Lecz na cóż go uwodzisz?

— Ja? jego?—jestem z nim jak ze wszystkimi—odprawić go nie mogę, bo nie wiem nawet czy myśli o mnie; pociągać go nie myślę, niech sobie będzie, a może na cóś się przyda!

A rok naznaczony powoli upływał. Julia była pewną, że Jan ukrywający się w Jarowinie, mieszkał w Litwie. Stary Darski, który o wszystkiém wiedział, wzruszał ramionami, nie bardzo narzekając na zwłokę.

— Wszystko u was teraz po szalonemu, mówił do syna — miłości wasze i nienawiści niepojęte, dziwaczne. Którażby to dawniéj kobiéta pomyślała wystawić człowieka na taką próbę osobliwą? któryżby z nas dawniéj poddał się takiemu rozkazowi! Dziś mosanie, takeście niedowierzający, że młodzi, w wieku zaufania i wiary nawet, boicie się jedni drugich. A zresztą może to i lepiéj! Bóg z wami. I mnie się też upiekło przytém, że Jan cały rok przy mnie bawi, gdybyś sobie jeszcze tę heroinę wybił z głowy!

Nadeszła zima i dzień naznaczony. W Dąbrowie było mnóstwo gości, a książę Henryk najjaśniejszą między niemi gwiazdą. — Julia tego dnia weselsza niż zawsze, dla niego zdawała się być grzeczniejszą. Każde jéj najzimniejsze nawet wejrzenie mogło zawrócić głowę, cóż gdy starała mu się nadać wyraz i uczynić je czarownèm? książę Henryk nie odstępował jéj — i jemu wytrawnemu, zużytemu prawie, mąciło się w głowie. Gdyby był w stanie, byłby się zakochał, lecz uczynił co mógł—zadurzył się. W sercu za młodu miłostkami powszedniemi skalaném nie mogła już urodzić się miłość, ale gwałtowne, namiętne i zwierzęce pragnienie.

Julia siedziała z nim na kanapie, sam na sam w dowcipnéj rozmowie, w któréj oboje celowali. Reszta gości u stolików z kartami, u fortepianu, przy krześle starościnéj, koło kanapy panien rozproszona była. Jan wszedł o zwykłéj godzinie i zastał — serce mu się ścisnęło, Julię tak zajętą księciem Henrykiem—że go zdawała się nie widziéć.—Gdy ją przywitał, skinęła głową obojętnie, a choć ją to wiele kosztowało, nie wstała z kanapy, nie przemówiła słowa — śmiejąc się i dowcipkując, a tłumiąc wzruszenie, którego doznawała.

Nie pokazał po sobie Darski, jaką uczuł boleść, twarz jego tylko zwykle wypogodzona, zbladła, oddech stał się ciężki, i siadł na piérwszém wolném krześle. — Zdaleka wejrzeniem mierzyła go nieubłagana. Julia czytała co cierpiał, darła jéj się dusza, lecz chłodny jakiś rachunek kazał jéj dla podbudzenia miłości Jana, rozniecić w nim zazdrość. Nie potrzeba jéj było, bo Jan kochał tak jak dziś nie wielu kochać potrafi, całą dziewiczą siłą niezużytego serca i niepokalanych zmysłów. Obojętność Julii, z któréj ochłonąć potrzebował, oswoić się z nią, bo jéj się nie spodziewał wcale, uderzała go jak piorun. Myśli błąkały mu się po głowie bezkształtne, dziwne, rozpaczliwe. A Julia śmiała się z księciem, z figur widzianych na ostatnim wieczorze, głos jéj czysty, wesoły na pozór, dochodził uszu kochanka, serca, i brzmiał w nich jak trzask walącego się gmachu.

— Byłażby to znowu próba? spytał się w duszy Jan. — A! daj Boże — inaczéj jabym tego nie przeżył—i ona!—Zabiłbym ją — zabiłbym ją! powtarzał drąc rękawiczki i szarpiąc suknie na sobie.—I zabić za mało! zemściłbym się! o! zemścił okropnie.

Jan szalał, gdy głos Maryi, która czuła się w obowiązku bawić opuszczonego gościa, głos Maryi, którego od razu nie posłyszał, odezwał się blizko:

— Nie byłeś pan chory? jesteś tak zmieniony?

— Nie byłem, lecz będę — czuję to.

— Cóż to panu?

— Potrzebaż mówić!

Marya udała, że nie zrozumiała...—Jakąż pan miałeś podróż? spytała odwracając rozmowę.

— Podróż? ja żadnéj nie odbyłem podróży.

— Gdzieżeś pan był?

— Daruje mi pani — dostałem zawrotu głowy, jestem jak nieprzytomny, muszę wyjść się ochłodzić — oszaleję—umrę, skonam!

Jakoż porwał się z krzesła, a Julia, która widziała wszystko, tak zręcznie wstała z kanapy i podeszła ku drzwiom, że go schwyciła na drodze. Spojrzeli na siebie, lecz Jan nic nie przemówił, zbyt wiele otaczało ich osób, a ukryć co czuł nie mógł.

— Janie! cicho szepnęła Julia, a głośniéj — o! jakeśmy się dawno nie widzieli. — I obłąkanego śmiejąc się, aby pokryć co czuła, poprowadziła ku oknom. Tu z miną najobojętniejszą przemówiła do niego tak, aby nikt po twarzach ich poznać nie mógł, co mówili.

— Co panu jest?

— Panu! Julio! i ty mnie pytasz o to? po takiém przywitaniu! po takiéj boleści!

— A! daruj.

— Jeszcze chwila téj męczarni —

— I cóżby było? drżącym głosem spytała go Julia.

— Byłbym cię zabił! stłumionym ponurym tonem odezwał się Jan.

Julii twarz rozjaśniała się.

— Daruj ukochany—o! daruj, to była próba.

— Jeszcze jedna taka, odpowiedział Jan, a zginiemy oboje — a więcéj nie zobaczysz mnie Julio. Rób ze mną co ci się podoba, ale szydzić z uczucia, którego znasz gwałtowność, które mówisz że podzielasz, bo dziś zwątpiłem o tém—o! nie probuj.—Namiętność, z jaką to wyrzekł Jan, była najlepszym dowodem dla Julii, że rok niewidzenia nie tylko nie zmienił miłości Jana, ale ją podniósł jeszcze! Była szczęśliwą!

— Kiedy wróciłeś z Litwy? spytała —

— Z Litwy! ja tam nie byłem od roku.

— Gdzieżeś był?

— Tu, w Jarowinie.

— Tu—o milę od Dąbrowéj! rok cały! tu!

— Tak tu! bliżéj ciebie Julio! I za to cierpienie Tantala, taką otrzymałem zapłatę.

— Janie, jam twoja, ukarz mnie jak zechcesz — przepraszam cię—o! daruj mi.

— Nie! nie! nie tak łatwo zagoić tę ranę; czuję ją jak zimne żelazo w sercu.

— Wszystko skończone.

— O! nie dla mnie—ja jeszcze cierpię.

— Mógłżeś wziąć mnie za zalotnicę, za niewierną i płoche dziecko?

— Nie myślałem, nie rozumiałem, cierpiałem tylko. — Julia ścisnęła tajemnie rękę Jana, lecz zbliżał się książę, trzeba było zmienić rozmowę i uczynić ją obojętną.

— Pani będzie łaskawa poznać mnie z p. Darskim? rzekł książę.

— Książę Henryk W— p. Darski.—I Julia zostawując ich samych, wymknęła się. Książę nadto był wielkim znawcą ludzi, których wielu przerzucił przez siebie, żeby nie poznał, że między Darskim a Julią jest tajemniczy jakiś związek. W początku obojętność zbyteczna, potém rozmowa tajemna, wiele mu myśli nagnały do głowy.

— Miałżebym, rzekł w duszy, zostać mężem tylko, a tamten czémś więcéj?

Postanowił śledzić, ale tego wieczora nic więcéj nie wyśledził; Julia była zręczna i panią już siebie. Na odjezdném szepnęła tylko Janowi —

— Jutro rano! ale tego nikt nie dosłyszał i zdaleka wziąć było można za proste — Dobranoc.

Nazajutrz Jan o dziesiątéj przyjechał do Dąbrowéj. Julia całkiem była inną, a chmurę widząc wiszącą jeszcze nad czołem Darskiego, starała się ją rozpędzić słowy, uściskiem ręki i temi tysiącznemi pieszczoty dozwolonemi, co są niczém dla obojętnych, szczęściem dla kochanków. Dotknąć ręki, zbliżyć się do niéj, uczuć jéj oddech, zyskać jedno ze spojrzeń jakie się nikomu nie dają, schować na sercu rękawiczkę, którą miała na dłoni, jakże to wiele dla jednych, jakże to drugim obojętne.

Ranek to był bez chmurki, roskoszny, jasny, szczęśliwy. — I Julia pożegnała go znowu — pozwoleniem przybycia — jutro rano.

— Więc koniec tym próbom nieszczęsnym, co mnie zabijają, spytał jéj Jan po długiéj, długiéj rozmowie.

— Nie — odpowiedziała Julia.

— Julio — chceszże mnie zabić?—

— Janie, wszystko się nagrodzi! ty mnie nie kochasz, jeśli o tém wątpisz, nie kochasz mnie, jeśli ci cięży ofiara dla mnie.

— Julio! ty mnie nie znasz!

— Janie! jeszcze chwilka, a będę twoją i — na zawsze będę ci posłuszną, będę ci laty całemi nagradzać, coś dla biednéj dziwaczki uczynił.

— Rób ze mną co zechcesz.

— Pojedziesz do Litwy, odpowiedziała po namyśle.

— Na długo?

— Jak ci się podoba, to już nie chodzi o czas. Tyś bogaty, ja cię bogatym nie chcę.

— Cóż mam zrobić?

— Połowę majątku oddasz ubogim krewnym.

— Nie mam ich.

— Komu zechcesz, lecz oddasz połowę majątku.

— O! to mnie najmniéj kosztować będzie.

— Przywieziesz mi dowód, żeś tak zrobił jak chciałam.

— Dobrze, za kilka tygodni mogę być z powrotem, zrobić majątek ciężko, ale rozdać go najłatwiéj. Oddam ziemię najuboższym z ubogich, tym co ją od wieków uprawiali, wieśniakom. Jestem ci wdzięczen za podanie téj myśli i cieszę się nią.

Julia spojrzała mu w oczy, podała rękę i piérwszy raz na jego ramie schyliła głowę, łza jakaś nieproszona zalśniała się w jéj oku, ale znikła. —Weszła Marya, Jan musiał Julię pożegnać, i spieszno mu téż było dopełnić to, co miał prawo, za ostatnią już próbę uważać.—Nazajutrz leciał do Litwy.

W miesiąc powracał do Jarowiny i stawił się Julii, składając dowody, że spełnił co mu kazała.

VIII.

— Teraz już próba ostatnia—rzekła Julia—po niéj, jesteśmy na zawsze razem i—szczęśliwi.

— Jakto? jeszcze próba? jeszcze niewiara? Julio, gdybym cię tak nie kochał, nie mógłżebym wreszcie uczuć się obrażonym nieufnością?

— Lecz właśnie dla tego, że mnie kochasz, spełnisz jeszcze jedną, tylko jedną prośbę moją.

— Spełnię wszystko dla ciebie, lecz nie lepiéj, żeby od razu kazać mi się powiesić lub utopić.

— Janie, gorzko mi wyrzucasz moją miłość.

— Julio, ty w moją nie chcesz i nie chcesz uwierzyć, to smutno! to okropnie!

— Mój drogi, jeszcze jedno, jedno tylko! Ja jutro na sześć miesięcy wyjeżdżam do Warszawy z podkomorzyną, która nie ma co robić u siebie, bo jéj zięć powoli się chce pozbyć. Ty pozostaniesz tutaj, i codzień będziesz w Dąbrowie, i codzień najmniéj godzinę przepędzisz z Maryą.

— Z Maryą?—zawołał Jan, któren nie wiedząc dla czego zmieszał się.

— Tak, Marya jest aniołem, piękna, dobra, łagodna, skromna, ale pod tą szatą ukrywająca myśli więcéj, niż pospolite mają kobiéty; Marya będzie próbą ostatnią.

— Lecz godziż się.—

— Zarozumiały! myślisz że się w tobie zakocha? o! znam ją nadto! nie łatwo miłość wnijdzie w to serce, które już biło dla kogoś i zranione zostało.

— Do czegóż to ma służyć?

— Do wyprobowania twojéj stałości; jeśli Marya nie odbierze mi serca twego, będę o nie spokojna. Najniebezpieczniejszą dla kochanki jest kobiéta całkiem do niéj niepodobna, całkiem od niéj różna. Marya i ja jesteśmy dwoma biegunami przeciwnemi kobiécego świata. Chcę żebyś ją poznał, zbliżył się do niéj, żebyś wytrzymał zimny, nieporuszony, stały, najstraszniejszą może z prób, na które cię narażam.

Jan nic nie odpowiedział, ale chmury przepłynęły po oczach jego i czole.

— Marya na to nie zezwoli—rzekł.

— Ja sama namówię ją na to.

— Lecz ludzie?

— Cóż ludzie powiedziéć mogą?

— Mogą rzucić potwarz na nią.

— Nie lękaj się. Nikt tu bywać nie będzie, nikt nie postrzeże, ja wszystko obmyśliłam.

— Godziż się tak żartować z jéj sercem, drażnić uczucia?

— Spodziewam się, że ani jéj serca, ani uczuć nie dotkniesz. Możecie sobie być najzimniéj, najobojętniéj, najchłodniéj, bylebyście codzień się widywali, a na te dzienne odwiedziny najmniéj naznaczam godzinę. Będziecie mogli mówić, o mnie naprzykład? A jeśli w końcu zaczniecie mówić —

o sobie. — I cichym głosem dodała: — Ja ustąpię wam z drogi.

Niepodobna było przekonać Julię i uprosić ją, aby tę dziwną próbę, w któréj narażała na najprzykrzejsze położenie przyjaciołkę i kochanka, odstąpić chciała. Jan błagał ją — napróżno; odjechać musiał przyrzekając, że spełni rozkaz.

Lecz Marya o niczém nie wiedziała jeszcze. Wieczorem dopiero, gdy obie w pokoiku Julii siadły u kominka, długo nie wiedząc jak do tego przystąpić, Julia przysiadła u kolan Maryi na dywanie i najpieszczotliwszym głosem, najpokorniéj odezwała się:

— Maryo, ty wiész, że ja jutro jadę, ale nie wiész ani dla czego, ani o co mam cię prosić. Myślisz z innemi, że wyprawę robić sobie będę w Warszawie, gdy ja nie wiem jeszcze, dotąd nie wiem, czy mi wyprawa potrzebna.

— Jakto? nie wierzyłabyś jeszcze w przywiązanie Jana.

— Wierzę, że mnie dziś kocha, ale czy ta miłość oprze się czasowi, ludziom—i niestety kobiétom innym.

— Dziwnie go posądzasz.

— Dziwnie téż przyszłości się boję.

— Mój Boże! gdy komu ściele się szczęście, on dziwaczy.

— Łaj mnie jeśli chcesz i jak chcesz, lecz zrób o co cię prosić będę. Wiem, że o nic złego prosić cię nie mogę, przysięgnij mi, że zrobisz to czego żądam po tobie, jako dowodu przyjaźni.

— Na cóż przysięga? jeśli mogę.

— Możesz i powinnaś, a wiem, że opierać się będziesz, że tysiąc znajdziesz przyczyn do odmówienia mi.

— Mów Julko, ufam tobie, że nie zechcesz nic, czegobym nie miała zrobić? Ja cię tak kocham.

— Otóż to będzie dowodem twojéj przyjaźni.

— Jeśli potrafię, zrobię.

— Przysięgasz mi?

— Przysięgam ci!

— Słuchaj. Ostatnią próbą postanowiłam doświadczyć Jana, któż wié, czy silniejsza miłość nie grozi mi w przyszłości. Chcę sprobować stałości jego. Dał mi słowo, że przez pół roku niebytności mojéj, codzień będzie tu bywał i po godzinie zostawał z tobą. Jeśli się nie zakocha —

Julia dokończyć nie mogła, bo Marya blada, drżąca, schwyciła się z krzesła i cofnęła na środek pokoju tak przerażona, tak zdumiona, że słowa przemówić nie potrafiła.

— I mnie rzucasz na pastwę! — zawołała łkając — a! ty nie masz serca! tyś go nigdy nie miała!

— Maryo! droga Maryo! co mówisz.

— I chciałabyś, żebym cierpiała.

— Dla czegóż miałabyś cierpiéć?

— Dla czego! — Marya spuściła ręce i dopiero postrzegła, że się tłumaczyć nie mogła, zarumieniła się, tajemnica tylko co jéj ust nie przeszła, zwróciła ją do serca.

— Odmawiasz mi?

— Julio! pomiarkuj, czego ty żądasz! Godziż się to jego tak dręczyć?

— Spodziewam się, że udręczeniem być nie może towarzystwo Maryi, nawet dla tego kto kocha inną. Będziecie mówili o mnie, liczyli dnie, czytali, milczeli, co chcecie, ale widywać się będziecie.

— Ja nie wyjdę do niego.

— Zrobisz to dla mnie.

— Julio, ja tego zrobić nie mogę, to nadto, nad siły moje!

— Jakto? bałażbyś się.

Marya znowu się zapłoniła.

— Ale to nieprzyzwoite, będą mówić, domyślać się, i ja zginę ofiarą twoją.

— Któż się ośmieli cię posądzać?

— Piérwsza, babka twoja.

— Babcia wié o wszystkiém.

— I pozwala?

— Ty wiész, że musi mi pozwolić wszystko, czego ja chcę, bo chcę silnie, bo wolą mam niezłamaną.

— I ona pozwala?

Marya rozpłakała się, a Julia siadła ją pocieszać. Biédnéj Maryi stawał przed oczyma wiek męki niepojętéj i rozkoszy niebieskiéj. Być z tym którego kochała, choćby raz w życiu codziennie, mówić, myślą się dzielić, w spojrzenie zajrzéć ukradkiem. Z drugiéj strony, świat nieochybnie miał ją potępić. Lecz miałaż co do stracenia? a to półrocze dla sieroty tak jasném uśmiechało się i tak czystém szczęściem! I wśród łez, wśród strachu, zgodziła się milczeniem smutném na gorące prośby Julii.

— A jeśli mnie kochasz— dodała przyjaciołka, bądź z nim, a! prawie zalotną, staraj się mi go wydrzéć, zawrócić mu głowę, jeśli ty tego nie dokażesz, o! to już nikt w świecie!

Długo w noc rozmawiały; Marya wróciwszy do swojéj izdebki, klękła u łóżka, modliła się, płakała, błyskawice latały przed jéj oczyma, krew zalewała serce, myśli szumiały wzburzone. Pół roku! całe pół roku niezamąconego szczęścia, a potém na wieki klasztor, cisza, modlitwa, łzy i zapomnienie... Rano podkomorzyna zajeżdżała po Julię, i Jan był na pożegnaniu. Marya i on inaczéj niż wczoraj spojrzeli na siebie, na obojgu znać było jakieś pomieszanie i bojaźń. Marya rumieniła się co chwila i słabła... A gdy Jan odprowadzając Julię odjechał, długo jeszcze powiodła za niemi oczyma.

IX.

Znałem dziwnego szaleńca. Z miłości utracił rozum, a w obłąkaniu swojém miał jasne chwile pogody i przytomności, których mu zimny rozsądek pospolitych ludzi mógł zazdrościć. Piérwszém pytaniem jego, gdy się spotkał z nieznajomym, było:

— Znałeś ty ją? a! jak była piękną!

Czasem dziwolągi nam prawił z powagą, z wiarą w to co utrzymywał, tak śmieszną dla jednych, tak dla drugich smutną, że nie jeden zapłakał, nie jeden boki zrywał. Dla mnie była to zagadka poważna i litość wzbudzająca. Raz pomnę wieczorem, siedzieliśmy z nim (bo chodził wolno zawsze) na wzgórku panującém miastu W.; oba oczy wlepione były w to mrowisko, na którego ulicach roje ludzi się kręciły. Nagle obłąkany śmiać się niezmiernie począł.— Co ci to Werterze?—spytałem (nazywał się sam tém imieniem).

— A! co! przypomniałem sobie moje podróże.

— Jakie podróże?

— Ty bo nie wiész, że ja niezmiernie wiele podróżowałem, opłynąłem do koła całego człowieka i splądrowałem go wzdłuż i wszerz z kapitanem angielskim Wilmore. Płynęliśmy na fregacie *Experta.* Byłem na téj osobliwszéj wyspie, która się sercem ludzkiém zowie. Najczęściéj bywa ona pustą, rzadko bardzo zaludnioną, mieszkańcy jedni

wypychają drugich. Serce kobiéty i serce mężczyzny są to dwie wysepki, niedaleko od siebie leżące, obie tak do siebie podobne, że najwprawniejszy żeglarz ledwie je po szerokości na jakiéj leżą, rozpozna. Wielu się nawet omyliło. Kobiéty serce jest wyspą daleko obszerniejszą i przystępniejszą, mnóstwo doskonałych ma portów, wodę świeżą, gaje rozkoszne, owoców mnóstwo, ale téż gości na nim jeśli nie wiele razem, to mnóstwo jest ciągle. Widziałem tam czasem psy i koty, kanarki i sroczki. Na pozór i serce mężczyzny bardzo jest do niego podobne, ale daleko mniéj przystępne dla nieświadomych żeglarzy, którzy do wybornych portów jego, jakich jest tam mnóstwo, trafić nie umieją. Kto się tu dostanie, dłużéj czasem mieszka; lecz postrzegałem na obu sercach jedno to, że pospolicie jak niewiedziéć dla czego kto przyszedł; tak niewiedziéć czego odchodził. Nigdy przyczyny dociec nie potrafiłem. Najdłużéj mieszkali ci, co to serce kaleczyli, co je krajali, co na niém dokazywali najdziwaczniéj, ale i to nie było prawidłem. Wielkie wstrząśnienia ziemi czasem ztąd całkiem wypędzają mieszkańców, po których długo serce zostaje pustynią. Co tam kryjówek! co pieczar! co bogactw, z których często nikt nie korzysta. Głowa ludzka leży nieréwnie daléj, i między nią a sercem są ciągłe i regularne komunikacye. Od niejakiego czasu nawet chodzą statki parowe. Zamiana płodów żywi serce i głowę...

Na tém skończył obłąkany, który natychmiast opowiadać mi zaczął, co się dzieje na księżycu i *jaka ona była piękna*! Biédny szaleniec! Zdawało mu się, że znał serce ludzkie i serce kobiéty, a któż się tém może pochlubić! Ze wszystkich określeń serca, jakie po świecie krążą, nieśmiertelnie najprawdziwszém będzie słowo angielskiego poety: serce—przepaść! Kto był na dnie, śmierć na niém znalazł i nie powié nam co się tam dzieje. Jestże rachuba, coby wypadek uczuć i historyę serca zawcześnie dać mogła?

Kiedy piérwszego dnia rano w cichym saloniku Dąbrowéj, wszędzie widząc przytomną Julię, znalazł Jan Maryę samą, serce mu zabolało i był tak smutny, że ledwie słowo mógł przemówić; ona tak pomieszana, że pół-wyrazami ledwie poczynała rozmowę. Nie śmieli mówić nawet o Julii.

Nazajutrz mówili o niéj i o niéj tylko Jan po ciężkim razie, musiał się wylać z boleścią swoją, a znajdując w Maryi kogoś umiejącego ją podzielać, mówił wiele, z zapałem, ze smutkiem. Ona ledwie go pocieszała kilką słowy, a w duszy myślała: O jakże ona szczęśliwa! On ją tak kocha........

Czemuż trzeciego dnia Jan powiedział sobie, że Marya nie dręczyłaby tak kochanka, że w jéj miłości więcéjby było wiary, bo więcéj uczucia?

Myśl ta, wstydząc się, uciekła... I mówili znowu o Julii tylko... Potém spotkali się już trochę oswojeni z sobą, prawie radzi, że się widzieli z pół uśmiechem. Maryi błogo było na sercu, bała się uciekających chwil, które były całym skarbem jéj życia, rada je była wstrzymać, zahamować. A gdy Jan krótko pobywszy uciekał od niéj, zamyślała się licząc godziny do jego powrotu. I gdy w początku gniewała się na Julię za to, co zwała jéj okrucieństwem, teraz poczęła być prawie wdzięczną za dar tych chwil ukradzionych jéj własnemu szczęściu! I późniéj jeszcze ośmieliła się spojrzéć na niego, a wejrzenia ich dziwném losu zrządzeniem spotkały się, i powiedziały to, o czém sami nie wiedzieli jeszcze, tak zdradziecko, że oboje zarumienili się ze wstydu, z bojaźni. Jan odjeżdżając powtarzał w drodze: — Julio, Julio, godziż się szydzić z uczuć świętych, i na taką je wystawiać próbę? — Lecz Jan kochał Julię, a Marya niczém się nie zdradziła. Byli tylko poufalsi z sobą, przyjaciołmi już, którzy powoli odkrywali sobie serca tajniki. Raz nawet Marya ze swéj przeszłości smutne szczątki życia opowiedziała Janowi i Jan zabolał nad nią. — Biédna! biédna! rzekł w duszy, a tak sama jedna! a tak nieszczęśliwa! I jakoś potém długo dość nie mówili nic o Julii, tylko o sobie. Aż przyszedł list z Warszawy i wszystko wróciło jak było dnia piérwszego. Jan był niespokojny, czy to przypisać tęsknocie? Marya smutniejsza codzień, choć śmielsza z nim coraz. I nie unikała jego wejrzenia, ani rozmowy, ani spotkania. Płynęła z biegiem wody. A za nią był kraj smutny, a przed nią — pustynia, uczucie swoje tłumaczyła przyjaźnią dla niego tylko! Kawałek tylko drogi mieli przebiedz razem. Jan, który w początku narzekał, tęsknił, dni rachował z Maryą, choć każde z nich z innéj przyczyny, powoli coraz rzadziéj na ustach miało Julię. Gniewał się na siebie, wyrzucał to sobie, gwałtem myśl naprowadzał na przyszłość obiecaną, a przyszłość ta nie miała już dla niego dawnego uroku.

W parę miesięcy widoczna była zmiana na obojgu. Jan walczył z sobą, Marya taiła co czuła, ale kochała całą duszą. Cóż, kiedy to uczucie utaić się nie da! Nie powiész go, zdradzi cię wzrok, bojaźń twoja, niezręczność, oczy, ruchy i te szatanki co koło nas latają w powietrzu, roznosząc myśli, którebyśmy ukryć chcieli, a które oni podają z uśmiechem każdemu. Czasem miłość maskuje się nawet wstrętem, lecz ta ze wszystkich najwydatniejszą. Marya umiała wprawdzie ukryć w sobie co czuła, lecz tyle tylko ile ludzkie dozwalają siły.

Jan czuł, że mu była przychylną. Myśli ich doskonale się spajały, serca rozumiały, upodobania zgadzały. Oboje wierzyli we wszystko dobre i szlachetne tą wiarą młodą, która żadnéj nie potrzebuje próby. Jednego dnia po trzech miesiącach, Marya nareszcie postrzegła wielką zmianę w Janie i przeraziła się nią. Jan nie wspominał Julii, chyba przypadkiem i obojętnie, przybywał raniéj, odjeżdżał późniéj i bawił się dnie czasem całe, czasem całe wieczory, przedłużając pobyt w Dąbrowie. Starościna brała to wszystko za przyjaźń niewinną i całkiem była spokojna; ale Marya nie mogła niepostrzedz, że już nie była obojętną Janowi jak przedtém, że serce jego zmieniło się, a ostatnia próba była jego upadkiem. Długo przeczyła sama sobie, lecz wejrzenia dopełniły się wyrazem i dłużéj wątpić nie było można. Przerażona i siebie obwiniając tylko, przelękła, strapiona, straciła głowę; lecz piérwsza na poświęcenie gotowa, postanowiła czekać wybuchu, a jeśliby nieomyliła się, powiedziéć Janowi, że nie może być jego, ani niczyją w świecie. To wyznanie mogło jéj życie kosztować, lecz naznaczyła je sobie, jako karę, bo niestałość Jana przypisywała sobie biédna, sobie tylko. Lecz cóż się działo w sercu Jana? Serce przepaść! któż je pojmie, kto je wytłumaczy?

W piérwszych chwilach wahało się ono między Julią a Maryą, długo, długo, aż przechyliło się na stronę piérwszéj. Teraz wracało do drugiéj. Jan rozpaczał i kochał, szalał i powracał do Dąbrowéj. Zmieniony, wychudły, chory, obłąkany prawie, jak dnia sądnego lękał się przybycia Julii. A czas leciał cwałem i wiosna już w całéj krasie rozpięła

zielone skrzydła nad ziemią. Któż odmaluje walki, modlitwy, łzy, rozpacz i wyrzuty, które sobie czyniła Marya. Czarne jéj oczy dziwnym ogniem pałały, wybladła, zmieniła się, chodziła wpół tylko żywa... dla niéj miłość iść musiała z śmiercią w parze. A Jan posłuszny teraz więcéj sercu swemu niż rozkazom, przyjeżdżał do Dąbrowéj.

Raz, był to ranek majowy, Maryi nie było w salonie, Jan zszedł do ogrodu i zastał ją w jednéj z ciemnych ulic bocznych. Z książką w ręku przechadzała się Marya wzrok obłąkany tocząc dokoła. Jan, widać to było z jego oczu, przybył z jakiémś postanowieniem stanowczém, wrzała w nim gorączka. Przywitali się więcéj zmieszani niż zwykle, przeczuwali coś strasznego oboje. Jan długo szedł obok niéj milczący.

— Cóż to za wiosna, cicho mówiła Marya, w życiu mojém nie pamiętam podobnéj (najpiękniejszą wiosną jest zawsze ta, w któréj kochamy).—Niebo tak pogodne, powietrze tak łagodne, zieloność rozwija się tak żywo, kwiaty podnoszą główki jaskrawe, jakaś radość w powietrzu.

— O! gdybym to tak mógł czuć jak pani.

— Zdaje mi się, że nic panu nie przeszkadza, tylko zgryzoty sumienia i rozpacz w piérwszéj swéj sile mogą od tego widoku oderwać, i to uczucie przeważyć.

— Tak! zgryzoty i rozpacz.

— Lecz możeszże pan nosić ciężar obojga?

— Nigdym nie znał, a dziś mam je na sobie, i dźwigam winowajcą.

— A! cóż pan mówisz!] cóż są za ciężkie jego zbrodnie?

— Jedna, ale straszna!

— Zabiłeś pan muchę, czy pająka? — żartując spytała Marya.

— A! pani, nie żartuj ze mnie. Dość spojrzéć na mnie, żeby się domyśléć co cierpię.

— Kochasz Julię i cierpisz dla niéj.

— Ja! ja kocham Julię! — z dziwnym śmiechem zawołał Jan—ja!

Marya stanęła.

— Kochałem, to prawda, ale dziś! o nie, ja jéj nie kocham.

— Nie godzi się szydzić!

— Tak jest Maryo! — zawołał z zapałem Jan, porywając jéj rękę — ciebie kocham, ciebie jedną. Możesz mnie odepchnąć, musisz mi nie wierzyć, lecz kocham ciebie, kocham ciebie!

W obec niebezpieczeństwa Marya nabrała zimnéj odwagi, jak ten majtek, co modli się wśród burzy, drży gdy bałwany biją o okręt, lecz rzucony na fale, chwyta deskę i ratuje się mężnie.

— Mnie?—spytała pogodnie prawie—O! na szyderstwo więc wystawiła mnie Julia. Godziż się mi to mówić—po niéj! I sądzisz pan, że przyjmę jego miłość, miłość drugą, zmienną jak wasze uczucia wszystkie, że zdradzę przyjaciołkę? Niespodziewałam się, żebyś pan do tego stopnia się obłąkał.

Jan nie umiał słów znaleść, nie spodziewał się od łagodnéj Maryi tak przykrych wyrzutów, lecz zniósł je czując, że na nie zasłużył. Spuścił głowę.

— Winienem—rzekł—i jako winowajca zniosę wszystko; lecz stało się. To było nad siły moje. Cóżem winien, że wystawiony na próbę upadłem. Odepchniesz mnie, to pewna, lecz i do Julii nie wrócę.

— Pan masz obowiązek.

— Powiem Julii: jeśli chce mnie bez serca, bez przywiązania, chłodnego niewolnika, posłuszne zwierzę miéć u nóg, należę do niéj, serca mojego miéć już nie będzie, sama je odrzuciła.

— Lecz prędzéj piérwsza, niż druga miłość pańska jest prawdą; piérwszą czas ugruntował, druga jest fantazyą próżniaka.

— Wszystkiegom wart, wszystko zniosę — powtórzył Jan.

— Co do mnie, zbierając siły rzekła heroicznie Marya—ja ani pana, ani niczyją być nie mogę.

— Kochasz?

Marya zamilkła. — Są ofiary, dodała, które na odkupienie win naszych winniśmy dopełnić; jedną z wielkich ofiar życia jest to co panu powiem o sobie. Jam nikogo nie warta — ty wrócisz do Julii.

— Nigdy!

— Słuchaj pan, nie patrząc na niego i szukając sił w sobie, mówiła Marya—słuchaj kto jestem. Byłam opuszczoną sierotą, byłam pośmiewiskiem służalców połowę życia mego. Nie ma szkarady, któraby od dzieciństwa oczów moich, myśli, serca nie splamiła. Ta, którą kochasz jak mówisz, z psami podwórza gryzła się nieraz o skórkę chleba spleśniałą.— Takie było dzieciństwo moje. — Nademną żadnéj opieki prócz Bożéj — o! i o téj zwątpić przyszło— nademną opiekun krewny, co czyhał na majątek i mnie się tylko chciał pozbyć. Dom jego był łotrowską pieczarą, a młode dni moje w nim spłynęły. Umarła żona jego i starzec przypadkiem spojrzał na sierotę, któréj młodość była całą ponętą — drugą może majątek. Nagle z czeladnéj izby, z grubego odzienia przeniosłam się do miasta — na pensyę. I dwa lata upłynęły mi tam swobodne, szczęśliwe, jasne.

Zastanowiła się, oddechu brakło, padła na ławeczkę.—Słuchaj pan! słuchaj do końca — Starzec odebrał mnie do domu, mówił mi, że chce się ożenić ze mną. Uważałam to za poczwarną, za straszną groźbę, za coś niepodobnego, oparłam się— opiérałam.— Nie byłam jego żoną— lecz mściwy i zajadły, nie mogąc skalać serca, zostawił mi wstyd na życie całe. — Na tych ustach, gwałt wyrył plamy, te ręce skurczyła boleść rozpaczliwéj obrony. — Ja nikogo nie jestem godną—ja być niczyją nie mogę.— Domawiając tych wyrazów Marya zachwiała się, omdlała, upadła.—Jan spojrzał na wpół umarłą, stał nie mogąc ratować i straciwszy przytomność, powtarzał tylko do siebie jak szalony.—Nikogo...nikomu... śmierć.

Szczęściem szukając ją od starościny służąca posłana po Maryę, nadbiegła i Jan mógł się oddalić, ale nie poszedł po konia, nie wrócił do domu i zapuściwszy się w ogród, potém w pole i las, zabłąkał się bez celu.—Stan jego duszy opisać się nie daje.

Ojciec niespokojny, rozesłał szukać go na wszystkie strony, gdyż na noc, ani nazajutrz nie powrócił. Trzeciego dnia znaleziono go w bliskości dębów, wycieńczonego boleścią i głodem, spalonego gorączką i chorego odwieziono do Jarowiny. Marya chciała natychmiast odjechać, ale opuścić starościnéj nie mogła.— Tymczasem list Julii oznajmywał jéj przybycie za dni kilka. — Julia przybywała pewna zwycięztwa, wesoła i szczęśliwa, z nadzieją, z szałem prawie.— List jéj do Maryi pisany był ogniem cały. I spieszyła tak, że tygodniem wprzód przybyła nim się jéj spodziewano. — Marya cień tylko chodzący, przeraziła ją jak widmo w progu domu. — Cofnęła się i przeczucie piérwszy raz ścisnęło serce.

— Co ci jest?

— Widzisz Julio! odpowiedziała — nic mi nie jest.— Tyś chora? spytała Julia.

— Nie czuję.

— Co się dzieje z Janem?

— Nie wiem, dawno tu nie był — o! dawno!

W tém uścisk staruszki, która wywlokła się na ganek przeciwko wnuczki, przerwał rozmowę. Julia niespokojna czyhała na chwilę, żeby sam na sam z Maryą pozostać.— Położenie Maryi było ciężkie i bolesne, lecz kłamać, ani mogła, ani chciała. Prędzéj, późniéj, Julia dowiedzieć się musiała prawdy. Jan był w niebezpieczeństwie, choroba jego przybrała charakter straszliwy, doktorowie rozpaczali o nim.— Stary Darski w ponurém milczeniu, nieporuszony, dzień i noc siedział u jego łóżka.

Pod pozorem znużenia szybko Julia rozstała się z babką i z bijącém sercem pobiegła do Maryi. Marya klęczała na modlitwie, wstała i wzięła rękę Julii i poważnie wskazała jéj krzyż.

— Co to znaczy? Maryo! na Boga.

— Módl się — Julio...

— On umarł!

— Żyje jeszcze.

— Chory! Ja lecę do niego! puszczajcie mnie! pójdę—sama —pójdę.—O! do niego, on chory i może z mojéj winy.

— Kobiéty miejsce u krzyża, odpowiedziała Marya — płakać, modlić się, cierpiéć, to los nasz.

— Lecz cóż się stało, mów nie zabijaj mnie niepewnością— mówże wszystko.

— Wszystko? spytała Marya — lecz maszże odwagę usłyszeć i wytrzymać wszystko?

— A więc to coś okropnego, coś okropniejszego od śmierci.

— Jan powrócić ci może, lecz nie jest dziś twoim.

Julia porwała się, odstąpiła krok.

— A! więc to ty go uwiodłaś—ty niewdzięczna — ty mnie i jego zabijasz! on ci nic nie winien. A!—nie! jam najwinniejsza. — I odwróciła się ze wstrętem, z pogardą.

— Przyjaźń! przyjaźń, zawołała,— o! to co ludzie zowią przyjaźnią, jest słodką trucizną, powolną zdradą.

— Julio — wszystko ci powiem — obwiniaj mnie, lecz jam nic nie winna.

— Jutro mnie tu nie będzie, lecz dziś ty prawdę usłyszysz.

— Jestże prawda, gdzie? powiész mi kłamstwo na wymówkę zdrady.—Julia płakała.

— Musisz mnie wysłuchać. — Jan długo walczył i nie wiem jaka nieszczęśliwa gwiazda, jaka fatalność pociągnęła go ku mnie.

— Gwiazda? oczy twoje, słówko twoje, uśmiechy — o! znam cię teraz niewinna!

— Ale ja ani jego, ani niczyją być nie mogę, miałam siłę mu to wyznać.—Julia się zastanowiła.

— Nie znasz całkiem mojéj przeszłości; oblanéj łzami, jutro cię opuszczę, dziś poznaj mnie całą.

I głosem przerywanym łkaniem, z głową w czarny warkocz ukrytą, Marya powtórzyła wszystko, wszystko aż do miłości Jana, do ostatniego wyznania.—

Julia słuchała i gniew jéj we łzy się rozpływał.—

— Daruj mi, rzekła na koniec klękając upokorzona — daruj Maryo! To ja winnam wszystkiemu, tyś anioł, co skrzydło w błocie ziemi skalał; a kał dawno opadł z piór twoich. Daruj mi, przebacz nieszczęśliwéj—szalonéj.—Lecz powiedz mi czy żyje— o! już nie będę jego, ale niech z tobą będzie szczęśliwy, z kim zechce, byleby nie umarł. — Powiedz mi czy żyje? — Żyje! żył jeszcze rano! smutnie wyszepnęła Marya — módlmy się, módlmy się, za niego. — I splotłszy ręce zimne, klękły przed krzyżykiem, a cała noc spłynęła we łzach i modlitwie....

W Jarowinie cichy ranek letni wschodzi naprzeciw okien samotnego domostwa.—W dziedzińcu nie było ruchu i wrzawy, ludzie snuli się milczący, powolnie.— Słowik zajadle nucił tylko w krzakach pod oknem. W progu z głową w dłoniach siedział Kasper i łzy ocierał. W piérwszéj izbie nikogo.—W sypialni okno było otwarte, na łóżku leżał Jan, a raczéj skielet biednego Jana, z oczyma otwartemi straszliwie i usty spalonemi gorączką—ręce jego bezwładne opadały na pościel, pierś powolnym ciężkim podnosiła się oddechem. Patrzał w okno, a nic nie widział. Przy nim w głowach starzec, jak on nieprzytomny, skościały, blady, złamany w pół i drżący; łzy płynęły mu po twarzy bez ustanku, i długa ich struga wyryła na policzkach drogę czerwoną. Widać nie dziś już płakał. Nikogo więcéj i pies tylko wierny u nóg łóżka z podniesioną głową, zawył niekiedy cicho i przelękły własnym głosem wśród ciszy, przypadał znowu. Słowiczy śpiew i szczebiotanie ptaków słychać było przez okno — w stajni rżał Lebed siwy... Lekarze opuścili łóżko chorego, nie było ocalenia nadziei, co chwila mógł skonać; ojciec sam jeden nie odstąpił syna... Nagle otworzyły się drzwi piérwsze i szelest sukni kobiécéj dał się słyszeć—Julia niepostrzeżona od nikogo, stanęła w progu. — Jan nie widząc jéj wstrząsnął się, przeczuł, starzec obrócił, zobaczył i wstał poważny z gniewem na czole.—Kobiéta klęczała przy łóżku.

— Wiem kto jesteś — rzekł Darski — idź ztąd, idź, zabiłaś go, nie czekaj bym cię przeklął.—W tém Jan pochylił głowę, nie poznał jéj i odwrócił się.—

— Nie poznał mnie! zawołała z rozpaczą.

— Daj mu skonać w pokoju, rzekł stary, idź, idź ztąd! Ty co miałaś serce żartować z przywiązania, igrać z życiem ludzkiém—idź! idź! Bóg ci może przebaczy—ojciec nie może!— Lecz Julia nie miała siły ani wstać, ani zwlec się — całowała zimną już rękę Jana, któren pomimo, że nie dał znaku, iż ją poznał, jakby wzruszenie jakie wstrząsło nim nowe, konać poczynał. Ze złamanemi rękoma ojciec klęczał przy nim i zachodził z płaczu. Skonanie ciężkie było i powolne, ale ani przytomność, ani mowa nie wróciły mu w chwili uroczystéj zgonu. Julię wynieśli bezprzytomną, ojciec pozostał przy nim.

Spytacie może co się stało z żywemi? Nie zawsze śmierć przychodzi, gdy jéj żądamy, a życie bywa długą pokutą. Stary Darski rok prawie konał, nie mogąc pójść za synem. Marya wstąpiła do klasztoru. A Julia? Julia żyje, ale jéj życie oblokło się kirem na wieki. Sama jedna, z myślami i żalem mieszka w Dąbrowie i na jednym smętarzu odwiedza grób babki i Jana. Kruche jest szczęście nasze, nie rzucajmy go o ziemię.

KONIEC.